

prze,

ci,

nek,

11



Inseraty * Ogłoszenia średnie *

(Redakcja odpowiada za treść ogłoszeń)

♣ ↔ ♠ Kiedy dostaniesz Nagrodę Nobla? Umrzesz w łóżku czy na raka? Czy żona ma kochankę? Masz szczęście w kartach czy w miłości? Na te i tysiące innych kwestii odpowiada rzetelnie wróżka Natalia Kiven, autorka głośnego dzieła *Magia i wróżby (Sphinx 2000)*, które podpisywała (to najlepsza rekomendacja!!) 30 XI 2000 na Wrocławskich Promocjach Dobrych Książek w Galerii Awangarda BWA we Wrocławiu. W przygotowaniu wydanie trzecie, poszerzone! Wróżę z kart, ręki, ziarenek grochu i fusów po herbacie chińskiej. Wyjaśniam sny wg metody amerykańskiej (Boston University). Pierwsza wizyta: tylko 100 PLN (z podatkiem VAT), następne: 20% zniżki. Rynek 5, I p., tylko po 17. I-01.

☞☞ Wrocławskie Towarzystwo Komediantów im. Aleksandra H. Fredry kupi pilnie 100 białych gęsi piór (dl. 15-20 cm) od hodowcy pasącego gęsi na ekologicznych pastwiskach. Możliwość podpisania stałej umowy! Od lat wandale (ostrzegamy: policja od 15 lat na tropie przestępców!) kradną pióro (z brązu, od niedawna z plastyku), które trzyma w prawej dłoni nasz pomnikowy Patron, przesiadujący od 45 lat na wrocławskim Rynku. Zastrzegamy sobie prawo pierwszeństwa zakupu oskubanych gęsi. Zgłoszenia (z próbkami) przyjmuje sekretariat Towarzystwa: kamieniczka „Małgosia”, pok. 7. I-03.

📁 GOBI SA – metalowe meble biurowe. Gdańsk (Pomorska 98, ☎ 058/556 18 88). Oddziały: Katowice, Lublin, Łódź, Poznań, Szczecin, Warszawa, Wrocław. Polecamy m.in. biurka komputerowe, fotele obrotowe „Gracja”, „Capri”, „Verona”. Dla RECENZENTÓW i PROZAIKÓW: szafy aktowe i kartotekowe! Dla młodych poetów: metalowe kosze samogaszące (upust: 7%). Specjalna oferta dla kandydatów do Literackiej Nagrody Nobla (upust: 44%): sejfy stalowe (tu rękopisy nie płoną!). I-13.

* Ogłoszenia drobne *

🏠 Kupię tanio dom (koniecznie z piwnicą i ogrodem), w którym nie chcesz już mieszkać. Twój Prawdziwy Przyjaciel z Brukseli. I-17

↑ ↑ ↑ Nie lubisz samotnej jazdy mercedesem do Paryża? W maju 2001 r. TRZY GRACJE (88, 91, 93) uprzyjemnią ci podróż. Zamów apartament w Hotelu Ritz! Zastrzegamy sobie prawo wyboru oferty. I-12.

📺 Obejrzałem w telewizji i na kasetach ponad 200 seriali południowo-amerykańskich. Opowiadam szczegółowo dowolny odcinek!! Ceny umiarkowane. I-11.

🌸🌸 Łzy jak GROCHY! Płacę na zawołanie!! Czekam na propozycje (tylko poważne) od reżyserów telewizyjnych seriali. Laura Luiza. I-14.

♫♫ Dlaczego ogórek nie śpiewa? – pytał poeta. JA WIEM! Jeśli przyślesz znaczki pocztowe wartości 10 zł + 1 zł (porto), odpowiem natychmiast. Listy pod „Sokrates”. I-05.

👉 Oświadczam, że w Sejmie nie będę nikogo przepraszał. Nawet moich wyborców. Najpierw mnie – do cholery! – wybierzcie! Kandydat na posła Ziutek R. I-08.

🔧 Naprawiam komputery, ołówki cedrowe i żelazka z duszą. Drogo! Zgłoszenie pod „Fachowiec-poeta”. I-04.

✱ Do kobiety nie przystępuj bez bata. Kto to powiedział: sławny filozof czy furman? Jeśli wiesz i jesteś odważny, to przyjdź i powiedz to głośno. Nie pożyczysz: w przedpokoju czekam na ciebie z bykowcem. Łagodna feministka Zosia. I-02.

Nagroda Literacka Czterech Kolumn

Nagroda Literacka Czterech Kolumn jest przyznawana poszukiwaczom i odkrywcom – czyli tym, którzy (parafrazując Blaise'a Cendrarsa*) mają odwagę iść aż do końca horyzontu – za dzieła poetyckie i prozatorskie (narracyjne i eseistyczne), napisane w języku polskim, tj. za konkretne książki lub za całokształt twórczości.

Nagroda została zainspirowana w 2000 r. przez
lotnika, sadownika i pisarza **Stanisława Pasternaka**.

Jury, składające się zawsze z pięciu osób (z czterech pisarzy i jednego szarego czytelnika), zbiera się na posiedzenia w Lutyni koło Wrocławia (w sadzie brzoskwińowym, w cieniu nieistniejących skrzydeł zabytkowego wiatraka-koźlaka) lub we Wrocławiu. Jurorami-doradcami będą kolejni laureaci Nagrody Czterech Kolumn.

Laureaci otrzymują Statuetkę Czterech Kolumn oraz pozłacaną złotówkę (czyli 1 PLN). Nagroda zostanie wręczona w maju w sadzie Stanisława Pasternaka, podczas Święta Kwitnącej Brzoskwini (albo w październiku podczas Dni Miodobrania).

Nagroda Czterech Kolumn będzie przyznawana wówczas, gdy ukażą się dzieła uznane przez jury za spełniające zasady regulaminu podróży do końca horyzontu.

W marcu 2001 r. jury – Bogusław Kierc, Stanisław R. Kortyka, „Jan Kowalski”, Stanisław Pasternak, Jerzy Pluta – Nagrodę Czterech Kolumn po raz pierwszy przyznało

Andrzejowi Falkiewiczowi – za powieść „Ledwie mrok” (Wrocław 1998, Wydawnictwo Dolnośląskie) i dzieła eseistyczne

oraz

Tymoteuszowi Karpowiczowi – za teksty wybrane „Słoje zadrzewne” (Wrocław 1999, Wydawnictwo Dolnośląskie) i całokształt twórczości poetyckiej oraz dramaturgicznej.

Nagrody zostaną wręczone w maju 2001 r.

*B. Cendrars, *Proza transsyberyjskiej kolei*

i *małej Żanny z Francji*, tłum. A. Ważyk:

Boję się

Nie umiem iść aż do końca

Bogusław Kierc
Marian Kowalski

Stanisław R. Kortyka
Jan Kowalski
Jerzy Pluta

Z. 1 ukazał się w 1995 r * ISSN 1429-8163

Przecinek

Małe prozy i marginalia
Jerzego Pluty



11 Wrocław 2001

P.o. redaktorki: Amelia Żymła

Seria III: dla dwunastu krasnoludków
i sierotki Marysi * © Copyright by Jerzy
Pluta * All rights reserved * Adres REDAKCJI:
✉ ✉ c/o Jerzy Pluta, 53-533 Wrocław #
ul. T. Zielińskiego 43 m. 10 ☎ (071) 361 75 39
E-mail: pluta@free.art.pl * *Przecinek*
w Internecie: ☎ [#](http://free.art.pl/pluta)

Wydawca-mecenas: wciąż poszukiwany...
Druk: Agencja Usługowo-Handlowa „POZAPOL”
Sp. z o.o., 53-114 Wrocław, ul. R. Weigla 12
Nakład: 12 i 1 + [= tajemnica edytorska i literacka]

Wydanie „Przecinka” 11 wsparli:

Jan H. (Jelenia Góra), po raz drugi – 100 zł;
Maria Grzegorska (Góra), po raz czwarty – 60 zł;
Maria i Tymoteusz Karpowiczowie (USA), po
raz trzeci – 444 zł; Halina i Roman Kłocowie
(Glinno) – 50 zł; Dariusz Speruda (Wrocław) –
30 zł. Ponadto: Stanisław Pasternak (Wrocław)
– 5 butelek wina brzoskwiniowego i 500 jabłek;
GOBI SA (Gdańsk) – 300 arkuszy A-4 papieru
chamois z Dusznik Zdroju.

Niektóre teksty „zrealizowano przy pomocy fi-
nansowej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa
Narodowego – ze środków Funduszu Promocji
Twórczości”.

TADEUSZ PEIPER, 1929:
Sztuka, robiona dla dwunastu,
staje się z czasem pożytkiem
dwunastu milionów.

„Przecinek” (z. 1-10) można prze-
czytać w ponad 20 polskich biblio-
tekach naukowych i kilku zagra-
nicznych (Czechy, Niemcy) oraz w
księgozbiorach prywatnych w Pol-
sce i zagranicą (Australia, Belgia,
Chorwacja, Czechy, Italia, Francja,
Niemcy, Portugalia, USA). Nielicz-
ne egzemplarze archiwalne moż-
na otrzymać w REDAKCJI.

Od p.o. redaktorki

*B*onjour, mesdames et messieurs!
W poprzednim zeszycie zapowie-
dział mnie niezbyt uprzejmie mój po-
przednik, czyli red. Piotr Czyżyk. Za-
pewne coś tam naszeptał Szeferowi i dla-
tego zostałam jedynie „pełniącą obo-
wiązki redaktorki”. Jak się wykażesz, to
dostaniesz nominację na papierze czer-
panym – powiedział mi Szefer, gdy dałam
mu delikatnie do zrozumienia, że to p.o.
nieco podejrzaną, a on odburknął no-
womową, że dla mnie to i tak awans spo-
leczny.



Owszem, drukowałam w gazetach (tu i ówdzie) recenzje, noty i felietony, ale dotąd byłam jedynie członkiem kolegium gazetki szkolnej w *** (adres znany Szeffowi), w której nauczam (jak mówią moi uczniowie) polaka. Mimo wszystko to ja mam lepszy dyplom niż b. red. P. Czyżyk: skończyłam polonistykę na najstarszym polskim uniwersytecie! To mało? We Wrocławiu mieszkam od 1995 r. Pracę magisterską napisałam pod kierunkiem prof. Jana Błońskiego („Czarna dziura literatury. O gombrowiczowskich aspektach prozy polskiej lat 1982-1989”), natomiast teraz na Uniwersytecie Wrocławskim jestem zaoczną doktorantką u prof. Jacka Łukasiewicza (mam już temat dysertacji: „Rafał Wojacek – czarny anioł poezji polskiej lat 60. i 70. Prawda i legenda”). Gdy umarł Wojacek, miałam zaledwie kilka lat, mogę czytać jego wiersze bez egzaltacji (zwierzę się jednak, że nasz drugi syn nazywa się Rafał Tymoteusz). Och, tu nieopatrznie zdradziłam swój wiek; tak, urodziłam się pod koniec epoki późnego Gomułki. A skąd to dziwne, prawie cudaczne nazwisko? Cudaczne? To moje rodowe, po ojcu, dziadku i pradziadku (o prapradziadku nie zachowały się żadne dokumenty: ani prywatne, ani urzędowe). Teraz, po mężu, mam pospolite nazwisko na -ski, na które nikt nie zwraca uwagi; nieraz żałuję, że nie zostawiłam nazwiska de domo. W *Przecinku*, aby nikt się nie dowiedział, co robię po godzinach, podpisuję się swoim prawdziwym, które mam przecież wpisane także w dowodzie osobistym i niekiedy urzędasy dziwią się, że to takie pocieszne nazwisko i nie wiedzą, co ono znaczy. A na Górnym Śląsku nie trzeba nikomu tłumaczyć, co to jest **żymla**, a 500 lat temu wszyscy w Polsce wiedzieli (Mikołaj Rej nieraz o zemle wspominał). Wiadomo, że w wielu gwarach, m.in. w śląskich, dawne staropolskie <e> wymawia się współcześnie <y> (do szczegółowych

Kto zapamięta? Tylko ja!

To się zdarzyło w połowie stycznia 2001 roku na chodniku ulicy Stysia, obok kościoła św. Ignacego, tuż po drugiej. Pochmurno, sennie, chyba dwa, trzy plusy, ale od czasu do czasu wiatr zawiewał z północnego zachodu; boję się takich niespodziewanych podmuchów, natychmiast uginają mi się kolana, przystaję, bo wiem: mogą mnie bez ostrzeżenia powalić na chodnik. Co prawda nigdy dotąd nie zostałem przez wiatr pokonany, ale kilka razy niemal nie pocałowałem asfaltu. Żeby chociaż mógł bezpiecznie polewitować pół metra nad ziemią: nic z tego! A tu obok, kilkanaście, a potem kilkadziesiąt centymetrów – to nad asfaltowym chodnikiem, to nad granitową jezdnią – unosi się plastikowa, półprzezroczysta torebka (na oko: formatu A3), tylko ta jedna, wznosi się i opada po esyfloresowatej trajektorii, dwa albo trzy razy spada pod moje nogi i znowu ulatuje do przodu, potem błyskawicznie zawraca. Na chodniku i jezdni widzę białą kopertę, kawałki gazet, jakieś plastikowe opakowania: nawet się nie raczą przekreślić na drugi bok, tylko ta jedna się nadyma i tańczy przede mną. Stoję i podziwiam; gdy mija mnie dziewczynka (hm, koza z podstawówki) w zielonawym płaszczku, a potem staruszek w berecie, torebka leży na chwilę u moich butów. To ty taka chytruska? A może lewitujesz tylko dla mnie? Na chwilę mogłem przeczytać angielskie duże litery. Chyba takie: THIS BAGS IS NOT TROY. Nie wiem, czy dobrze zapamiętałem, angielskiego uczyłem się tylko przez osiem miesięcy na popołudniowych kursach (THIS czy THESE? TROY czy TRY?). I co to znaczy? Torebki (?) nie są... Mniejsza z tym! Ot, to-

rebka jeszcze kilka razy podskoczy, zatańczy między autami i nikt już na nią nie spojrzy, śmieciarze zabiorą może już jutro na podwrocławskie wysypisko i tam będzie się przez pół wieku (albo i dłużej) rozkładać na cząsteczki (hm, żebym to ja wiedział jakie!). Kto zapamięta, że naprawdę lewitowała radośnie aż kilka minut? Tylko ja.

Nikt nie dzwonił?

Po śniadaniu musiałem pójść do apteki: rąbała mnie głowa, a nie pożeram już, jak kilkanaście lat temu, tabletek z krzyżykiem, dawno zostały wycofane z kiosków z gazetami, nawet w aptece nie można ich kupić, w telewizorze codziennie uśmiechnięte farmaceutki, lub niby lekarze w białych kitlach, zachęcają mnie, bym kupił (bez recepty!) niezawodne tabletki od bólu głowy, i to najlepszych firm na świecie. Skoro najlepsze na świecie... I już na klatce schodowej widzę, że jestem na pewno w domu, a nie – jak mi się śniło nad ranem – w nieznanym mieście, gdzie nie ma tramwajów, a w kawiarni ktoś (nieznany mi – jak się przedstawia – „student Sorbony”) zachęca mnie po francusku (dziwię się, że wszystko rozumiem), bym pojechał z nim do jego znajomej (Mulatki z Martyniki, dodaje) metrem do stacji „Stalingrad”, a ja mówię po polsku, że tu też są uroczę dupy, a on na te moje słowa otwiera szeroko usta, jak by chciał (domyślam się) powiedzieć: merde, merde; dozorczyńni (tak mówimy, choć oficjalnie to jest ona gospodarzem domu, nie tylko naszego, ale i kilku sąsiednich) umyła jedynie posadzkę na parterze, nie tak dawno (i nie pierwszy raz w tym miesiącu) pies (już ja się domy-

wyjaśnięć odsyłam do prac prof. Stanisława Bąka i prof. Jana Miodka). Oto co pisze Aleksander Brückner (**Słownik etymologiczny języka polskiego**, s. 664): „**żemla**, ‘bulka’, od 15. wieku powszechnie, częste w biblii: »uprażoną w oleju *żemlę*«; z niem. *Semmel*, z łac. *simila*, a to wraz z grecką nazwą ‘przedniej mąki’, *semidalion*, z jakiegoś obcego języka. Po narzeczach *żemla*, *żemleka*, do dziś przetrwała”. Czyż nie piękne nazwisko o rodowodzie staropolsko-niemiecko-lacińsko-greckim? A to arystokratyczne imię u córki górnika i gospodyni domowej? Sama się nieraz zastanawiałam; mama powiedziała mi, że lubiła słuchowiska, a kiedyś, gdy już byłam w jej brzuchu, a nie widziała jeszcze, że to dzioliszka, wysłuchiwała w katowickim radiu o zazdrosnym, starym wojewodzie i jego nieszczęśliwej, młodej żonie Amelii, w której kochał się i jej pasierb, i polski król. Dopiero przed maturą odkryłam, że mama mówiła o **Mazepie** Słowackiego! Tak się popłakała, że nazwała mnie Amelią (co prawda farozar najpierw nie chciał się zgodzić, ale mama go przekonała, że jest przecież św. Amalia, imieniny 20 kwietnia, to może być także Amelia). Teraz już zapewne czytelnicy *Przecinka* nie będą dzwonić i dopytywać się, co to za wymyślone imię i nazwisko...

Nie mogę już więcej miejsca wykorzystać, więc tylko dopowiem, że to ja zaproponowałam dwukolumnowy układ trzeciej serii *Przecinka*. Kolumny wewnętrzne (70-milimetrowe) zawierają głównie teksty narracyjne, natomiast kolumny zewnętrzne (50-milimetrowe) – marginalia i dopiski do tekstów głównych. I przypominam Szefowi co tydzień (podczas dyżuru redakcyjnego): pamiętaj, każdy zeszyt może być ostatni, każde zdanie powinno być kamieniem wystrzelianym procą w przestrzeń kosmiczną. A on się śmieje ze mnie jak głupi (nie dopowiem). A na s. 1 mój autoportret...

Język, w jakim piszę i jaki mnie pisze

Rozmowa emailowa z Andrzejem
Pańtą, poetą i tłumaczem

Zauważyłem, że chyba od 10 lat podpisuje się pan również Painta. A może to nazwisko literackie? Np. Andreas Painta. Czy to nie brzmi bardziej europejsko? A po drugie, sam pan wspominał, że nad Jeziorem Bodeńskim mieszka pana wujek, który nazywa się Painta, że pana prapradziadek przybył na Górny Śląsk z Bawarii.

– Mówiąc szczerze, nigdy nie nazywałem się Andrzej Pańta. Nazwisko „Pańta” jest tworem ustawy z 15 XI 1956 r. o zmianie imion i nazwisk, a może gorliwości urzędników (nad)interpretujących tę ustawę i działania prawa wstecz, bo miałem tę nieprzyjemność urodzenia się przed jej wejściem w życie. Jednak użyto jej wobec mnie i tak powstało nazwisko Pańta. Pewnie nosiłbym je do dziś, gdyby nie skradziono mi dowodu osobistego i gdy poprosiłem o nowy, administracja nie mogła mi już wydać go na to nazwisko, skoro metrykę oddałem na nazwisko Painta, które zawsze figurowało we wszystkich właściwych mi USC i nigdy go tam nie zmieniono, gdyż skrupulatnie stosowały one tę ustawę. Jednak potem znowu wyłonił się mój stary dowód i tak jakiś czas całkiem legalnie miałem dwa nazwiska. Co prawda w publikacjach i prywatnie nadal posługuję się przebrzmiałym Pańtą, lecz trudno wyjaśniać wszystkim ciekawskim i zainteresowanym, że nie nazywam się tak, jak to podają, co zresztą w języku mówionym brzmi podobnie. Administracji i tak ta dwoistość wciąż sprawia kłopoty i jedne dokumenty wystawia na Pańta, inne zaś na Painta.

Nie mam pretensji do europejskości – bardziej hołduję ideom azjatyckim, jak choćby buddyzmowi – ale zapytałem

ślam który: zapewne jamnik szorstkowłosy z ósmego piętra!) obsikał ścianę pod skrzynkami na listy (kałuża jeszcze nie wyschła), drzwi wejściowe niezamknięte i znowu bez zaproszenia wejdzie do środka domokrażca i będzie mnie zachęcał (jak kilka dni temu), bym kupił dywan perski albo amerykański filtr do czyszczenia wody; za to przed blokiem powietrze przyjemne: połowa grudnia, a tu trzy plusowe gradusy, gawrony z Laponii (albo znad Morza Białego) przywołują się przeciągłym krrrraa, krrrrraaaaaaa, do apteki niecałe sto metrów.

Obok śmietnika dwaj mężczyźni zmieniają przednie koło zielonkawej furgonetki. Widzę, że im się nie śpieszy, pogadują sobie, a ten w pobrudzonym kombinezonie podnosi pokrywę nad silnikiem i mówi, że trzeba sprawdzić, bo coś podejrzenie stuka. A mnie stuka w skroniach, zwłaszcza tu obok lewego ucha. W aptece młoda pani magister poleciła mi amerykański APAP, nieco się opierałem, że może by coś naszego, ziołowego, ale gdy popatrzyła na mnie (tak mi się wydawało) pogardliwie, jak by chciała powiedzieć: ty dziadygo (a może nawet: ciulu jeden? – już tu więcej nie przyjdę!), burknąłem, że może być. Na ulicy rozgryzłem tabletkę: co za goryczkowe świństwo, mogłem poczekać i w domu popić wodą. A ci naprawiacze przykręcąją akurat koło, nawet nie wiem, który zapytał:

– Nikt nie dzwonił, nie rzucał chujami?

– A wiesz, że nie.

Żebym to ja wiedział, o co chodzi. A zresztą: cóż mnie to obchodzi kto i czym rzucał. Nawet niech sobie rzuca dyskiem albo młotem, jak olimpijczycy.

(I/OI)

Świecznik (za 15 DM)

S toi na komodzie w pokoju balkonowym, naprzeciwko drzwi: kto wchodzi, musi go zauważyć. Ale są też tacy, którzy zauważają od razu szklane, maciupeńkie żabki, miniaturowe biusty marszałka Piłsudskiego i generalissimusa Beethovena, a nie widzą świecznika. To raczej z tych małych: ot, ćwierćmetry, podobno z prawdziwego brązu, a nie tylko patynowany (ja mam wątpliwości, czy naprawdę z brązu: zbyt lekki). M. kupiła cienkie, białe świeczki, tylko dla ozdoby: i knoty wciąż białe; teraz wydaje się, że nieco wyższy niż groźny Dziadek. Podarowała go nam w Kassel RM: i siedmioramienny świecznik, i brązową, kilkunastocentymetrową figurkę Najświętszej Marii Panny z Dzieciątkiem (*hand-carved olive-wood*), kupioną kiedyś przez jej znajomą w Betlejem. I niektórzy biorą figurkę do ręki i mówią, że bardzo ładna, ale świecznika nie zauważają, jakby nie stał obok, jakby go w ogóle na komodzie nie było. To mąż RM (teraz już śp.) kupił świecznik okazynie, na Flohmarkt w Getyndze, za kilkanaście marek, chyba piętnaście, na pewno nie więcej. Sprzedawca (uprzejmy staruszek po sześćdziesiątce, który – pomyślał przybyły niedawno z Polski przesiedleńca – mógłby być albo dawnym nauczycielem, albo i esesmanem) zapewniał kwieciście, że to na pewno autentyk sprzed 1945 roku, żadna tam amatorska kopia, jak na przykład ten sztylet na stoisku obok. Na pewno był używany na co dzień pół wieku temu, ale czy w Reichu (takiej formy użył), czy gdzieś tam na Wschodzie, tego nie wie. Gdy niedawno, po latach, znowu odwiedził mnie znajomy z lat sześćdziesiątych, o którym wiem z gazet i telewi-

ostatnio w Archiwum Państwowym w Katowicach o obywatelstwo mego dziadka i okazało się, iż ten nie przyjął opcji polskiej po 1922 r., gdy Górny Śląsk przejęła polska administracja. Górnoślązkom dano takie prawo wyboru i przez całą epokę zachował swoje obywatelstwo niemieckie mieszkając na polskim Górnym Śląsku, co nie było mile widziane, i spolonizowano go dopiero wedle stosownej ustawy z 1951 r. Mam tedy prawo do imienia Andreas, używam zresztą jego skróconej formy Andi; i jako Andi Painta przełożyłem na niemiecki wiersze Agnieszki Wesołowskiej zawarte w jej tomiku pt. **Dwuznaczny** (2000).

Tak, są opinie, że moja rodzina pochodzi z Bawarii, z miejscowości Painten, lecz stosowne dokumenty zabrał z sobą jeden z wujków zatrudnionych w administracji rządowej w Berlinie jeszcze w latach 30. minionego wieku. Mogę jednak rzec, że jestem mocno zakorzenionym Górnoślązakiem, a najstarsze zapiski o mojej rodzinie sięgają I poł. XVIII w., czyli jeszcze czasów austriackich. Tak, wujek Josef mieszkał blisko Bodensee, umarł niedawno, urzędowo połowicznie, gdyż w swym macierzystym USC w Siemianowicach Śl. nadal figuruje jako człowiek żywy.

Konstatując mogę rzec, że język, w jakim piszę i jaki mnie pisze, nie jest dla mnie znakiem przynależności narodowej, lecz tylko narzędziem ekspresji artystycznej i aż instrumentem, na którym gram (albo staram się grać) w całej jego diachronii i synchronii.

Co z pana wierszami? Mam na półce m.in. tomiki: Wyspa na jeziorze (1977), Za plotem (1981), Zwyczajnie (1984), Wieczna naiwność wrózek (1985), Counter-Rewolution (1989). Mówił pan, że miały się ukazać 3 tomiki. Jeden zbiorok (Bez; ogródek) zachował się ponoć tylko w kilku egzemplarzach, bo drukarnia – gdy wydawca nie zapłacił za druk – po prostu zniszczyła cały na-

klad. Ostatni pana zbiorek to miniaturowa książeczka, czyli wiersze z cyklu **Pan** (1991).

– Ukazywały się, jak choćby zbiór **Nie więcej** (1994). Zresztą z czasem zbrzydła mi ta forma prezentacji, skoro każdy chętny może wydać sobie setki książek, lecz przeważnie wszystko to ginie w ogólnej nadprodukcji. Poza tym mamy wszak nowy środek w postaci Internetu, którym wprost mogę dotrzeć do konkretnego odbiorcy; i np. każdy zainteresowany mógł się zapoznać na moich stronach [http://free.art.pl/apainta – dop. red.] m.in. z poematami dygresyjnymi **Jechać do Gliwic**. To nie tak, że nie nie publikuję, publikuję bowiem od czasu do czasu i moje teksty wciąż krążą w różnych obiegach. Poza tym na tradycyjnym rynku wydawniczym panuje chaos i być może ukazały się moje książki, tylko sam o tym nie wiem...

Wydał pan m.in. 2 wybory przekładów wierszy H. Bienka, tomik Hölderlina, a także kilku innych autorów. Czyżby tłumaczenia stały się dla pana ważniejsze?

– No nie, tłumaczenia są bardzo czasochłonne i osłabiają nieco moją aktywność poetycką. Jednak od pewnego czasu mam coraz mniej do tego chęci i z wolna zaczynam powracać do moich starzych i dręczących mnie tematów.

Ostatnio odkrył pan, nieznaną nawet germanistom, berlińską poetkę; rok temu przysłał mi pan kilka spolszczeń jej wierszy. Niektóre wydały mi się dość drastyczne, czy wręcz obrażające „nasz gust środkowoeuropejski”.

– Germaniści na ogół są słabo zorientowani, nie tylko w tym, co się tyczy Tatiany Tausendfüßler, zapomnianej poetki z Kreuzbergu i ofiary reformy walutowej, jak ją określiłem, jest to moja prowokacyjna odpowiedź nie tylko dla (obecnie już prof.) Mariana Kisiela, który kiedyś kwestionował moje przekłady poezji R. Ausländer [W **kotle czarownic**, 1995 – dop. red.], że niby nikt tak

zji, że uważa się za prawdziwego Polaka (po 1989 roku trzy razy kandydował do rady miejskiej, a dwa razy do Sejmu), już w drzwiach wykrzyknął:

– Co ja widzę! Menora!! I ty też się chcesz przypochlebić Żydom?

(II/01)

Czytanki (1)

A la ma kota, czarnego, a ja mam w domu brązowego piesa. Piesiu, ty mój piesiu, mówię do niego codziennie rano, gdy wychodzę do szkoły. A mama niekiedy krzyczy na tatę: ale ty masz kota! Jakiego kota? U nas w domu nie ma kota, proszę pani, jak Boga kocham. A kilka dni temu, jak wracałam ze szkoły, spotkałam znowu tego wysokiego, chudego dziadka, który gada sam z sobą i na nikogo nie zwraca uwagi. Kiedyś wykrzykiwał w kółko: Jezus Maria, to Chrystus, nasz Zbawiciel, też był Żydem? We wtorek powtarzał monotonnie: wszyscy mają porządnego kota, wszyscy mają porządnego kota. Co to za kot? Może to kot perski?

Czyżyki

57. Uśmiechać się zawsze jak Amerykanie? Co za naiwna tresura! Śmieję się tylko we śnie. Albo gdy jestem na pustyni i żaden człowiek (lub ukryta kamera) nie może mnie podpatrzeć.

58. Mówiłem dwa razy, że za głośno. Nikt już teraz mnie nie słucha – mówi smutno (jakby z sąsiedniego pokoju) ojciec. Widzę tylko jego głowę i słyszę jego głos. A to ja w otwartym pokoju naprzeciwno słucham radia i dziwię

się, że przecież on nie żyje już od kilku lat, a pod koniec życia był prawie głuchy (gdy go odwiedzałem, telewizor włączony był na cały regulator). A teraz przeszkadza mu wieczorna muzyka? Wiem, to nie „Eine kleine Nachtmusik”. To zwykle lubudu-lubudu. Czy wiedział, kto to był Mozart? Nigdy go o to nie zapytałem.

Tysiąc pierdolek o sadzeniu grochu

88. Agresywne dobermany. To takie nic nie znaczące zdarzenie, może więc nie powinienem myśleć o złożeniu doniesienia, lecz po prostu zapomnieć? I gdzie się składa? Na policji czy od razu w prokuraturze? I tak nie mam świadków, nikogo w pobliżu nie było, nie wiem jak się nazywa opiekun psów, trzydziestoletni chyba byczek; nawet gdybym zażądał od niego dowodu osobistego, to wcale nie musiałby mi go pokazywać (a przecież nie zapytałem go o nazwisko i adres, też zapewne by mnie wyśmiał), bo wciąż byłem przestraszony, a przebiegł obok mnie równie szybko jak psy. A psy? Nigdy ich tu dotąd nie widziałem, zapewne w gościnie na kilka dni (albo tylko dzisiaj). Prawdziwi właściciele wyjechali na urlop (przecież to lipiec), zostawili je u znajomych? Młode, trzy ciemnobrązowe dobermany. To było chyba tak: wyprowadziwszy z domu, zaraz za rogiem spuścił je ze smyczy (miały skórzane, brązowe obrożki z zielonymi podkładkami, to zapamiętałem, ale czy to jakiś znak szczególny? skądże!), one natychmiast popędziły przez trawnik w prawo: wprost na mnie... Stałem – powtarzam: przestraszony – bo wiem, że szczekające dobermany są groźne (w telewizji kilka razy pokazywano dzieci, dorosłych też, pogryzione przez własne i cudze psy, a M. opowiadała o swojej znajomej: dobermanka zagryzła na jej oczach kota sąsiadki i od tego momentu zaczęła się bać własnej suki, bo jej nie usłuchała, i koleżanka musiała potem zapłacić odszkodowanie). A

się nie może nazywać i po prostu wymyśliłem takie nazwisko. Jednak mogła. I tak wpadłem potem na tę Tatianę, której wiersze sam napisałem i w odróżnieniu od zwyczajnych pseudonimów moja innowacja polegała na dodaniu przypisu, że przełożyłem te utwory, konkretnie i metaforycznie. Wszystko to, co pisze mi się w Berlinie, podpisuję jako T. Tausendfüßler, potem zaś przenoszę te utwory ze stołu w Berlinie na biurko w Dąbrówce Wielkiej [k. Bytomia – *dop. red.*] i bez wątpliwości zachodzi fakt „przekładu”. Porzekadło, że wszystko co niemieckie ceni się wyżej niż rzeczy krajowe, sprawdziło się i tu: wiersze te szybko opublikowano. Gdybym zaś dał im jakieś swojskie nazwisko, np. Berta Stonoga, to przypisywane jej utwory prawdopodobnie nie wywierałyby takiego wrażenia jak w tym kształcie. Jak zbierze mi się więcej jej tekstów, to pomyślę o ew. zbiorze, atoli już mi się tak nie podobają te wiersze jak po ich napisaniu. Gusta środkowoeuropejskie są bardzo elastyczne, skoro określa i motywuje je tyle wzajemnie wykluczających się opcji jak freudyzm, fizys kwantowa i orgazm kosmiczny W. Reicha. Z dorobku Tatiany zacytuję choćby taki:

NIEKIEDY PAMIĘĆ POPADA
W OSOBLIWE ZAWIROWANIA

**W dzikich zaroślach życia
Po raz pierwszy ujrzałam śmierć
bez parasola. —
Bujala się na torach i zwyczajnie, by
Nie powiedzieć: pospolicie, śmiała
mi się w oczy.**

Podobno zamierza pan odwrócić ścieżkę życiową Jakuba Böhmego. Jak wiadomo, on najpierw był szewcem w Görlitz, potem został reformatorem religijnym, myślicielem, a właściwie poetą. A pan, poeta i tłumacz m.in. fragmentów Aurory Böhmego, chce teraz robić buty? Dla kogo? Ma pan już jakiegoś upatrzonego mistrza szewskiego,

które zechciałby pana przyjąć do terminu? Zamieszka pan w Zgorzelcu czy w Görlitz?

– Wie pan przecież, że jestem ogrodnikiem, uczyłem się tego rzemiosła, wcale więc nie muszę naśladować Böhme-go i terminować, a dowcip polega na tym, żeby coś zrobić własnymi rękami bardzo prostymi środkami. Böhme nie jest dla mnie wyjątkiem, wielu innych znaczących twórców wyszło od rzemiosła: Platon, św. Paweł, Spinoza, Worcell nawet, by wymienić najbardziej znanych. Böhme wszak jest dla mnie jednym z prekursorów wolnego rynku i swobodnego kształtowania własnego stylu życia bez patrzenia na autorytety i dogmaty, i pod tym względem inspiruje mnie. Mam taką ideę, aby zamieszkać w Zgorzelcu/Görlitz, i może jeszcze mi się to uda. Jednak bardziej, choćby jako domniemaną autorkę, porusza mnie Berlin i ideałem byłoby dla mnie nie mieszkać w jakimś stałym miejscu, lecz krążyć wciąż w wozie mieszkalnym po tzw. berlińskim Ringu. (II/01)

Dopisek do „Spotkań z Tymoteuszem Karpowiczem”

Pisząc o pierwszym spotkaniu w sadzie w Lutyni (2 VI 2000, por. z. 10, s. 17), zapomniałem napisać, iż tam właśnie Stanisław Pasternak wręczył autorowi **Odwroconego światła** swoją prywatną nagrodę (za całokształt!), czyli 27 słoiczków miodu z własnej pasieki (1 słoiczek = 1 rok nieobecności we Wrocławiu).

Jeden z warszawskich czytelników *Przecinka* w liście do mnie napomknął: *Widziałem Karpowicza z daleka na Targach Książki, gdy podpisywał swój tom; zdumiało mnie, że ustawiła się spora kolejka kupujących*. Inny, również z Warszawy, zaemailował: *Ja z Karpowiczem spotkałem się dwukrotnie. Prawie mnie nie poznał. Pan taki młody?! Pan*

one tuż przy mnie: szczekające, szczerzące kły, już już szarpną mnie za nogawki... Krzyknąłem STOP, ale nie zareagowały. Jak ktoś cię zaatakuję, wal od razu łagą – radził mi kiedyś Ernest. A jeśli napastnik silniejszy? A jeśli to trzy agresywne psy? A jeśli nie trafię albo za słabo uderzę? Psa trzeba złapać za jaja i od razu będzie potulny – pouczał mnie kiedyś znajomy kynolog amator. Ale jak to zrobić, gdy trzy skaczą? Podbiegł mężczyzna, coś do nich warknął, a do mnie z pretensją:

- Niech się pan nie boi, nic panu nie zrobią.
- Czemu nie na smyczy?
- O co panu chodzi? Stało się coś?
- Psińco!

Czytanki (2)

To jest lis. Lis ma rude futerko i rudą kitę, którą zamiata za sobą ślady swoich nóg. A to tata o wujku Karolu nieraz mówił podczas obiadu, że to farbowany lis. Wiem, farbuje sobie włosy jak kobiety: szamponem francuskim, który reklamowała wiele razy telewizja, ale na lisa to on nie wygłada, naprawdę.

Czyżyki

59. Zaproszono mnie na wesele w nieodległej krainie (tylko trzy i pół godziny jazdy pospiesznym autobusem). Nie pojechałem, bo nie jestem masochistą: nie tańczę, nie piję, nie jem za trzech, nie cierpię głośnej muzyki, nie skanduję „gorzko, gorzko”. Na pewno nie jestem. I nie mógłbym nawet wykrzykiwać co godzinę: lej, bo trzeźwieję!

60. Nie bać się ni Boga, ni ludzi? Co za odwaga! Tylko błyskawicy podczas burzy? Pod samotnym dębem na pustkowiu, gdy grzmi raz i dwa. Jak na filmach wojennych.

Karpowicz mówi, Karpowicz czyta wiersze

25 maja 2000 r. Tymoteusz Karpowicz – po 27 latach nieobecności w Polsce – na „Czwartku literackim” w Domku Romańskim we Wrocławiu podzielił się swoimi przemyśleniami o (nie tylko) literaturze („Rzeź drogowskazów”), czytał wiersze z nieukończonego poematu polimorficznego **Rozwiązywanie przestrzeni** i odpowiadał na pytania (zob. *Przecinek* 10). Za zgodą Poety przytaczam niektóre zdania (dodam: nieautoryzowane, wyrwane z kontekstu) i wiersz, odtworzone z taśmy magnetofonowej (wg nagrania Bereniki D.). Moje dopiski w nawiasach kwadratowych.

✂ *W zasadzie od początku mojej twórczości fascynowała mnie przemienność – nieustanna – oglądu rzeczywistości, wszystkich postaci prawdy. Potem spotkałem tę rzekę filozofii, która właściwie ustawiła mnie na zawsze, a była to rzeka Heraklita.*

✂ *Jeszcze niedawno nie bardzo można się było chwalić tym, że jest się relatywistą. Wyglądano prawd jednoznacznych, ugruntowanych, prawd, które się nie wahały, nie miały podwójnych cieni, tymczasem problem cieni polega na tym, że nie wiemy, zależy od tego, gdzie ustawimy źródło światła, będzie cień zupełnie inny; jeśli będzie wiele źródeł światła, to tyle będziemy mieć swoich cieni. Gdziekolwiek sięgać, wszędzie rzeczywistość, treść tej rzeczywistości, likwiduje jednoznaczność. I tu dopiero ludzkość została wystawiona na wielką próbę etyczną. Jeśli tak jest, że aż tyle prawd, równoległe obok siebie, wędruje obok wędrowca człowieka, to jak się w takim razie zorientować w swoim kierunku, jak wybrać swoje wartości etyczne? Ta nieustanna zmienność dopada nas z wszystkich stron, z tej*

też! – wykrzyknąłem. Pięknie mi się wpi-sał do „Słojów”.

O odczycie Karpowicza „Skrzydlaty alef” w Muzeum Architektury (1 VI 2000) napisał sympatycznie Józef Łoziński (*Twórczość* 2000, nr 10: Wykład o kulturze).

Jak wiadomo, **Słoje zadrzewne** nie weszły do finałowej siódemki Nagrody Nike: laureatem został Tadeusz Różewicz (*Matka odchodzi*, Wyd. Dolnośląskie).

Przeczytałem w gazecie: ... jak przecinek

[...] *Piotr P. jest dwa razy większy od Lukaszka. Gdy stali obok siebie na sądownym korytarzu, chłopiec wyglądał przy nim jak przecinek* (podkr. moje – JP).

Przeczytałem w książce

Saul Bellow, **Suma po przemyśleniach**, tłum. Tomasz Bieroń, Poznań 1998, s. 157:

Kilka miesięcy temu z przyjemnością przeczytałem słowa, które wypowiedział na łożu śmierci austriacki pisarz, Karl Kraus, kiedy usłyszał o japońskiej inwazji na Mandżurię: „Nie doszłoby do tych wszystkich katastrof, gdyby ludzie byli bardziej rygorystyczni w posługiwaniu się przecinkiem”.

Cytat wytopił ojciec bitnika Gorgolewskiego: merci!

„Pomosty” trzecie

Na początku 2001 r. ukazał się trzeci wolumin *Pomostów* (t. 4-5: 1999/2000; red. nac. Jerzy Bogdan Kos), czyli „dolnośląskiego rocznika literackiego”, wydawanego przez wrocławski Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wolumin pierwszy został wydany w 1997 r. (t. 1: 1996), a drugi w 2000 r. (t. 2-3: 1997/98). To trzecia księga, ale i trzecie

edytorskie wykorzystanie tytułu POMOSTY... O dwóch poprzednich wcieleniach pamiętają nieliczni; **Pomosty** drugie na pewno są dostępne we wszystkich bibliotekach naukowych, natomiast *Pomosty* pierwsze chyba w nielicznych. Kto przed laty wymyślił tytuł? Chyba Urszula Kozioł. W połowie lat 60. autorka **W rytmie korzeni** była opiekunem Klubu Dyskusyjnego Młodych (potem dodano także: Pisarzy) przy ZLP Wrocław, a zarazem dyrektorem Wrocławskiego Ośrodka Kultury (obecny OKiS). Oto w l. 1965-66 pojawiły się dwa nry *Pomostów* („biuletynu KDM”): w nakładzie ok. 100 egz., odbite na powielaczu woskowym WrOK-u (z – wielce ostrzegawczym! – napisem „do użytku wewnętrznego”), zawierające teksty (proza, wiersze i noty) młodych autorów. Później Wydawnictwo Ossolineum wydało trzy grube tomy **Pomostów**, czyli „wrocławskiego almanachu młodych” (1966, 1969, 1973), w których drukowali także autorzy pierwszego tytułu.

O trzecim woluminie trzecich *Pomostów* nie wypowiadam się z oczywistych względów: jestem jednym z 50 współautorów (dodam, że w t. 4-5 moje 3 małe prozy i tekst o **Słojach zdrzewnych**, drukowane najpierw w *Przecinku*). Pochwalę się, że – oprócz m.in. Ernesta Dyczka, Feliksa Przybyłaka i Janusza Stycznia – drukowałem swoje teksty we wszystkich trzech wcieleniach *Pomostów*.

Chapeau bas! 40-lecie „Odry”

To już 40 lat mija od ukazania się pierwszego numeru miesięcznika *Odra*? Nie da się zaprzeczyć, to prawda, choć czasem w to nie wierzę. A przecież chyba jestem jednym z nielicznych indywidualnych nabywców i czytelników tego – wrocławskiego i europejskiego – periodyku, który ma na półkach wszystkie

zmienności człowiek musi sądzić świat. Czym jest nasza prawda? Trzeba przyjąć to wszystko, co się wokół dzieje, niestety, w stanie podejrzenia, żyć nieustannie filozoficznie, podejrzliwie, ale nie w sensie tym jakimś negatywnym, bo jeżeli mówimy, że ktoś jest podejrzliwy, to najczęściej myślimy, że jest zgorzkniały, krzywdy robi innym, nie, nie o to tu chodzi, tylko o to, ażeby przyjmować każde zjawisko za jeszcze nieskończone.

✠ *W moim życiu były dwa wielkie dzieła, i są nadal, które właśnie pokazały mi tę migotliwość prawdy, konieczność wyboru własnej wersji jakiegokolwiek prawdy. Pierwsze to dzieło średniowieczne **Sic et non** Piotra Abelarda, a drugie, współczesne, to Teodora Adorno **Dialektyka negatywna**.*

✠ *Mój kolega amerykański, już nieżyjący, skandynawskiego pochodzenia, Karol Sandburg powiedział coś niezrównanego dla mnie dotychczas o poezji, a tym samym o poetach. W aforyzmach swoich napisał tak: „Poezja jest dziennikiem zwierząt morskich, które żyją na łądzie, a którym chciałoby się latać”.*

✠ *Czytając te teksty swoje, mogą się potykać, dlatego że są one w stanie nieokreślonym, w stanie określanym in statu nascendi, w procesie rodzenia się, nawet nie wiem, kiedy je ukończę. Te teksty jeszcze są poprawiane, mimo że niektóre mają po 20, 30 lat, te właśnie teksty jeszcze niesprawne pragnę odczytać. Zdaję sobie sprawę, że ta poezja właściwie nie do czytania głośnego. [Cytuję tylko 1 utwór, bo innych – „Żniwo za lato”, „Poła” (spróbuję ucześcić się poły państwa), „Kukułka” (o, takie ludowe, wszyscy kochamy kukułki!) – nie udało mi się odtworzyć w całości:] „Rozstrzyganie”. Cz. I: „Powrocie”. Tzn. rozstrzyganie poprzez powrót.*

jak długo możesz nie rozstrzygać kwiatu
przenoszonego z łąki do kielicha domu
nie chciej zabawić tego co pokażesz
w miejscu gdzie kolor stał się bezgraniczny
ściany gdy tylko potwierdzisz o jeden
że są tapetą tak rozłożą ręce twoje
że nikt nie dowie się od progę
kto go stąd wyгнаł lub zaprosił
a przecież imię miał już ustalone
na tęgim mięsie aż do kości
lecz się obrócił w rumianek za domem

✂ *Nieprawdą jest, co niektórzy mi sugerują, że jestem postprzybosiowy, jestem w zasadzie postpeiperowiec, jeśli chodzi o doświadczenia techniki poetyckiej, ja dochodziłem do Przybosia poprzez Peipera, więc to hasło „minimum słów, a maksimum treści” nadal jest dla mnie obowiązujące. Wydaje mi się, że w „Żelaznych kluczach królestwa” [w **Odwróconym świetle**] pozwoliłem sobie na pewne gadulstwo, na pewien automatyzm, na pewien samotematyzm, że po prostu przechwylił mnie ten rytm, sposób myślenia, pewien sposób istnienia i przynajmniej w poważnej części stałem się niewolnikiem tego tekstu, czego strasznie nie lubię.*

✂ *Stoję na stanowisku, że wszystkie szkoły, literackie, są wielkim niebezpieczeństwem, wielkim zagrożeniem osobowości młodych [pisarzy] i że właściwie mądry redaktor pisma literackiego powinien robić wszystko, ażeby ustrzec naśladowania tej poetyki, którą on uznaje. Najważniejsze są indywidualności. Na jednym ze spotkań naukowych w Londynie, poświęconym związkom nauk ścisłych i sztuki, jeden z fizyków, to był krytalograf interesujący się światem kryształów, powiedział nam rzecz wstrząsającą, że od początku zaistnie-*

zeszyty *Odry*. Z wyjątkiem jednego z datą: grudzień 1981. Nr 1 (marzec) miałem w ręce już pod koniec lutego 1961 r., natomiast nr 2 (luty) ukazał się w kioskach 15 II 2001 r. Ostatni nr, zamykający 40-lecie, jest 471, lecz zeszytów ukazało się nieco mniej, bo – wiadomo – *Odra* wydaje w roku 11 nrów, a w 1981 r. ukazało się tylko 10, nr 12 (to miał być zeszyt jubileuszowy: 250!) nigdy nie trafił do kiosków (podobno zachowało się kilka czystodruków) i wypadł on z numeracji ciągłej (bibliografowie nie wiedzą, co z tym fantem zrobić). Oto nr 11 (listopad) 1981 to 249, a pierwszy zeszyt 1982, który ukazał się po wznowieniu pisma w stanie wojennym w lecie (1-8), już 251...

W 1961 r. *Odra* była skromnym pismem regionalnym, choć kolportowana we wszystkich kioskach – wg ówczesnej oficjalnej nazwy – Ziemi Zachodnich i Północnych, po latach (już pod koniec lat 60, gdy redaktorem naczelnym był Klemens Krzyżagórski, który rozbudował dział reportażu) stała się pismem ogólnopolskim o sporym prestiżu. Największe zasługi ma tu niewątpliwie Zbigniew Kubikowski, red. nac. w I połowie lat 70.: *Odra* stała się wówczas periodykiem literacko-eseistycznym i ten profil utrzymał się do dzisiaj. Jednakże od początku *Odra* składała się jakby z dwóch pism: literackiego i publicystyczno-eseistycznego. Na zawartość działu literackiego wpływ mieli przede wszystkim redaktorzy o silnych osobowościach i uznanym autorytecie literackim: w l. 1961-1972 – Tymoteusz Karpowicz, a od 1973 r. – Urszula Koziół, na pozostałe działy przede wszystkim szefowie pisma. Widać to i teraz: w *Odrze* nie ukaże się żaden zakalec literacki, o to już dba autorka *Żalnika*, natomiast wśród nieliterackich niekiedy sporo „tekstów docenckich”, które niekiedy bardziej nadawałyby się do niskonakładowych zeszytów uczelnianych niż do pi-

sma dla wszystkich (po maturze). W radzie redakcyjnej *Odry* aż 6 (a może 7?) profesorów (w tym 1 członek rzeczywisty PAN i 3 b. rektorów UW), ale czy mają oni jakiś istotny wpływ na zawartość merytoryczną pisma? Jako czytelnik tego nie odczuwam, to chyba pozostałość PRL-owska, czyli listki figowe.

40 lat, 40 lat! Gdy w 1961 r. ukazał się pierwszy zeszyt *Odry*, obecny (od 1991 r.) red. nac. – Mieczysław Orski – był jeszcze uczniem maturalnym w soppockim liceum, tuż przed debiutem prasowym. To mi uświadamia, jak wiele czasu upłynęło od tamtego czasu. *Odra* w zasadzie bez plam przetrwała wszystkie PRL-owskie zawirowania, a po 1981 r. należała do tych nielicznych oficjalnych periodyków kulturalnych, w których druk był tolerowany nawet przez najzagorzalszych przeciwników stanu wojennego. Oczywiście, i ja mam swoje prywatne pretensje do *Odry*; m.in. za bardzo stara się być „światowa” (w złym znaczeniu tego słowa), a za mało miejsca poświęca sprawom wrocławskim, dolnośląskim (niektórym wybitnym twórcom – np. poecie i tłumaczowi Bernardowi Antocheviczowi – po ich śmierci nie poświęciła nawet dwóch zdań), ale nie przestanę pisma kupować.

Niestety, korzystanie z 423 zeszytów *Odry* jest niezwykle utrudnione: nie ukazała się dotąd bibliografia zawartości. Kto to może zrobić? Np. 4 magistrantów bibliotekoznawstwa pod kierunkiem prof. Andrzeja Cieńskiego. Bardzo by to ułatwiło korzystanie z dawnych nrów, a zarazem taka publikacja pokazywałaby jakie niezwykle bogactwo tekstów ukrywa się w tych zeszytach. Jacek Łukasiewicz napisał słusznie w *Pomostach* (t. 4-5), że *monografię „Odry” należy napisać koniecznie, póki są archiwa i żyją świadkowie*. Całkowicie się z nim zgadzam, ale teraz najważniejsza wydaje mi się bibliografia zawartości *Odry* za l. 1961-2000. Ja sam, mimo że mam kom-

nia związków atmosferycznych na naszym globie, dotychczas jeszcze nie spadły dwa identyczne płatki śniegu, dwie identyczne śnieżynki. Czyż boskość nie realizuje się w niepowtarzalności? Musimy robić wszystko, ażeby wspomagać niepowtarzalności.

✠ *Nie miałem w sobie [w latach 60.] żadnej świadomości, że ja robię jakiś przełom [w poezji]. Rozmawiałem z Mironem, bardzośmy się przyjaźnili, Białoszewski też nie miał świadomości, że robi przełom. Miron Białoszewski miał świadomość, że tak rzeczywistość odbierał, że dzianie się jest największą sprawą twórczości.*

✠ *Raz po raz odkrywałem, że ratunkiem może być paradoks, że właściwie językiem przyszłości jest właśnie język paradoksu. Wszystko co zaczyna się od słowa *dziać*, ma postać paradoksalną. Zatem treść w paradoksie. Obecności już nie słów dziwiących się sobie, ale katów dziwiących się sobie. A to już jest co innego. W tę stronę usiłuję, wolno, o ile mam czasu i sił, posuwać swoje narzędzia poznawania rzeczywistości, w obszarze nieustannego sporu paradoksu.*

✠ *Konieczna jest obrona myślenia poetyckiego, a konkretnie myślenia metaforycznego. Zdajemy sobie sprawę [pisarze i naukowcy, skupieni wokół chicagowskiego periodyku 2B], że szybkość przemian w świecie technologii, wszędzie, jest tak olbrzymia, że jeżeli będziemy chcieli zostawić tę dotychczasową formę wypowiedzi językowej, to my za niczym nie nadążymy. Słownictwo się nie rozwinie tak szybko, składnia się udoskonali czy nie, jest zatem konieczna przede wszystkim obrona wyobraźni. Poezja ma być tylko częścią składową tego działania wyobraźni, bo poezja niekoniecznie ma się posługiwać językiem. Pa-*

miętam, kiedy byłem w Chinach, niedaleko Szanghaju zatrzymaliśmy się (z jakiego powodu – nie wiem): spostrzegłem człowieka, Chińczyka już leciwego, który coś układał na zeschniętej, wypalanej trawie. I ja spytałem, kto to jest, co on robi. A wtedy mi powiedziano, że to największy poeta pobliskiego miasta. Ale co on robi? Mówią, on jest niepiśmienny i nauczył się wypowiadać kładąc swoje światły poetyckie z patyków.

Sny (naprawdę podejrzane)

Nad ranem [4-6?]: 4 III 2000, zapisane 4 III 2000 po 20

Jakby przyjęcie w domu rodzinnym w Ł.: przy stole Jan Błoński, także M. i ja, profesor (tak go tytułuję) zajada ze smakiem dania, bierze jeszcze dokładkę, coś mówimy, nadzwyczajna uprzejmość z mojej strony, pytam o polemiki dotyczące literatury lat 90., on macha ręką, jacyś nieznani mi ludzie podchodzą do stołu, inni przechodzą przez pokój, pomieszczenia nazbyt wytworne jak na pokoje w Ł. (kiedy ja tu byłem ostatni raz?), Błoński odpowiada na pytania moje i M. żartobliwie, że wcale nie jest z literaturą tak źle, M. chce z nim polemizować, zastanawiam się, jak tu się Błoński znalazł. (– – –) Idę ulicą, chcę pojechać tramwajem, muszę jak najszybciej dostać się do domu, zastanawiam się jak dojść na przystanek tramwajowy. Czy to na pewno Wrocław? Chyba tak, ktoś mówi, że zaraz ósma, a jeszcze się nie ściemnia, idę prawym chodnikiem, a tu już zaraz będzie ciemno, przechodzę obok kina, właśnie ludzie wychodzą, jakby dawne kino „Pokój”, przyglądam się plakatowi, schodzę po schodach w dół, to przejście podziemne, jestem w barze, a tu przy stole siedzi także Leopold Buczkowski z Zygmuntem Trziszką, Buczkowski mówi, że jego nowa książka nazywa się **George**, widzę ten tytuł pisany po angielsku, patrzę w prawo, a tu Buczkowski nie siedzi już obok mnie po lewej, lecz naprzeciwko, Trziszka prawie się nie odzywa, tylko potakuje.

plet *Odry* na półkach, nie mogę odnaleźć wielu tekstów, które kiedyś czytałem: nie mam pod ręką przewodnika.

Sny (amerykańskie)

Przed 6: 31 I 2001, zapisane 31 I 2001 przed 11

Jakieś seminarium literackie, wiem, że to w Ameryce, także tam M.; potem jakaś strzelanina, uciekamy, M. już nie ma, nieznany mi mężczyzna postrzelony; trzeba szybko dotrzeć na dworzec kolejowy i odjechać, widzę, że ledwo idzie, slania się i utyka, trzyma się za udo, jest ciężko ranny, to ja mam pierwszy zejść po schodach niżej, by przejść na inny peron, ale widzę, że na dole ciemno, nie zejść, na pewno czeka tam gangster i nas zastrzeli. (– – –) W pustawym pokoju: rozmawiam przez telefon komórkowy, mówiąca przedstawia się, że jest córką Stanisława Barańczaka. Bardzo źle ją słyszę, podaje mi swój nr telefonu, nie mogę zapamiętać, a nie mam czym zapisać, zaprasza mnie do domu, konieczne mam przyjechać. (– – –) Oglądam na dużym ekranie telewizyjnym współczesne sceny dworcowe, potem wchodzi do holu dworcowego, a tu jak w muzeum, pustka, ktoś mi mówi, że tak teraz wygląda dworzec kolejowy w Bostonie, ot, stoją lokomotywy i wagony, ciemnowo, można przejść na drugą ulicę. Potem w holu stoję ze Staszkiem Kortyką (albo z Mietkiem Machnickim?), podchodzi Ernest Dyczek i mówi, że w dwóch miejscach widział wystawione plakaty „Ugrupowania 66”, pytam gdzie, on, że na Harvardzie, a zrobiłeś zdjęcia?, on, że nie, po co, ja prawie krzyczę, że musimy tam pójść i zrobić fotki, to ważne, bo nikt nie uwierzy, a on nie chce powiedzieć gdzie to jest, znowu krzyczę, a Ernest nie mówi, gdzie wisi drugi plakat, Machnicki (to jednak on!) cały czas milczy.

(1936-2000)

Ubywają, umierają, wyjeżdżają do Ameryki (sto lat temu znaczyło to tyle, co wyjechać na tamten świat; dziś można polecieć do Nowego Jorku, wypić tam kawę i nazajutrz wrócić do Warszawy) pisarze średniego i starszego pokolenia. W 2000 r. zmarło m.in. trzech pisarzy, których znałem przelotnie (Stanisław Gostkowski, Jan Kulka) i nieco bliżej (Zygmunt Trziszka). Poeta Gostkowski poszedł drogą Bruna, czyli zapił się na śmierć, natomiast prozaik Trziszka poniekąd – Stachury, czyli się powiesił. O śmierci wszystkich trzech dowiedziałem po pewnym czasie i wcale nie z prasy, radia i telewizji, lecz pocztą pantoflową.

Właściwie jedynie o Trziszce mógłbym napisać coś więcej: przeczytałem prawie wszystkie jego książki (a wydał ok. 20), a w l. 1976-1985 spotkał się kilkanaście razy i wymienili chyba ponad 100 listów. A poróżniła nas niby drobna sprawa: oto Trziszka włączył do swego wywiadu z Hrabalem w warszawskiej *Kulturze* (1985) także mój z *Literatury* (1979), a potem upierał się, że autor *Baru Świat* powiedział mu to samo... O prozie Trziszki w PRL-u na-

LEOPOLD BUCZKOWSKI

A jest warunkiem bytności B, czyli ciepłe spanie na szezlongu

(Zdania z listów
do Jerzego Pluty z lat 1982-1984)

(1): 17.5.1982 r. *Piękny Pana list – herbu „Dwa Gile” – doszedł moich rąk – i dziękuję. Nic tu co obce nie jest nam obce – następstwa po sobie: A jest warunkiem bytności B – lecz B nie jest warunkiem bytności A/A nie jest, gdy jest B – wreszcie usuwa się w niebyt bo pośredniczy w narodzinach A – wobec tego czas ani jest ani upływa? Co, co? Taki kocikwit nawiedził moją myśl podczas lektury APOGEUM Łozińskiego – świetna proza – zrobiona w płaszczyźnie – wpływ kubizmu? Jest tam kilka błędów tzw. wyjścia na zewnątrz. Muszę do Józefa napisać – ale potem, odszukam adres. Trziszki nie widziałem od marca, coś tam pewnie robi, może trzecie dziecko.*

Czekam Pana w czerwcu – proszę dać depeszę z wyprzedzeniem. Sam myślę jechać



w sierpniu przez Wrocław do resztki moich parafian z Dolinoszczęsnej – wobec tego nowocwałbym u Pana?

(2): 3.8.1982 r. Tak, tak, dziękuję. Przez Wrocław, a więc przez Pana dom do Wołowa ruszę 13 lub 14 sierpnia. Trziszki nie widuję tu już trzeci miesiąc – co robi nie mam pojęcia – może znowu jakieś dziecko zmechaniczył – potem „z cicha pękl”!

(3): 1.10.82 r. Oto to! Kurewska codzienność zabiera dni „cudnej jesieni”, że ze wstrętem widzę jabłka „taniejące”. A co więcej? Trziszkę widziałem jeszcze w maju! Co robi, gdzie się podziewa – nic nie wiem. A może wygina jakiś nowy romans – co zrozumiałe przy tym braku omasty.



pisano sporo (odsylam przede wszystkim do tekstów Henryka Berezę i książki T. Budrewicza **Zygmunt Trziszka**, 1992), natomiast po 1989 r. jego nazwisko wpadło w czarną dziurę (chyba nie wydał żadnej książki, oprócz „powieści dokumentu” o K. Świtoni **Na pohybel**, 1993); od czasu do czasu dochodziły do mnie dziwne wieści o nim jako o niemal „prawdziwym Polaku” i prezesie Związku Twórczego Pisarzy Polskich. Opublikował m.in. zbiory opowiadań: **Wielkie świniobicie** (1965), **Przedmiotowy pejzaż** (1975), powieści: **Romansoid** (1969), **Happeniada** (1976), szkice literackie: **Mój pisarz** (1979), **Korzenie plebejusza** (1984). W tej obfitej i bardzo nierównej prozie jest niewątpliwie sporo zdań, które zasługują na nowe odczytanie i przypomnienie.

Na pewno osobno trzeba wspomnieć o zasługach Trziszki wobec Leopolda Buczkowskiego (kilka lat temu w *Twórczości* zwrócił już na to uwagę Berezę). Autor **Drewnianego wesela** zdobył zaufanie autora **Pierwszej świetności** i pod koniec lat 70. i w latach 80. nagrał na taśmie kilkadziesiąt godzin (!) wypowiedzi pisarza. Z tych magnetofonowych nagrań Trziszka przygotował do druku 3 książki, których jest nie tylko redaktorem, ale i poniekąd współautorem, trzeba je więc czytać z pewnym krytycyzmem, jako że Buczkowski (z własnej woli!) ich nie autoryzował. „Za wszystko odpowiada Zygmunt, niech się jego czepiają” – powiedział kiedyś do mnie we Wrocławiu, nb. w obecności Trziszki. **Wszystko jest dialogiem** (1984), **Proza żywa** (1987), **Żywe dialogi** (1989) to bezcenne i wypowiedzi autobiograficzne, i proza sensu stricto, i czasem „poetyckie” dopowiedzenia redaktora (powinni o tym pamiętać przede wszystkim buczkowskolodzy!). Trziszka wydał także popularyzatorską książkę **Leopold Buczkowski** (1987 – w PIW-owskiej serii Portrety Współcz-

snych Pisarzy Polskich). Nie wiem, co się stało z ok. 50 taśmami z nagraniami „prozy żywej” Buczkowskiego; oby trafiły do Muzeum Literatury, gdzie znajdują się archiwalia autora **Czarnego potoku**.

W mroźkowskiej powieści **Wędrówka** (1987), chyba ostatniej, która ukazała się drukiem za jego życia, końcowe zdania takie: *Czy Tezet stamtąd się wydostanie? Wyglądało na to, że nie starczy mu sił do dalszej wędrówki, ale kto do końca zna wyroki ludzkie?* Wystarczyło się tylko na kilkanaście lat.

Hrabalowskie rysunki

Wspominałem już w *Przecinku* (z. 10, s. 20) o rysunkach Andrzeja Klimczaka-Dobrzanieckiego, których inspiracją były utwory Bohumila Hrabala. W listopadzie 2000 r. otrzymałem od autora miniaturową książeczkę formatu 100 x 140 mm (reprodukcja okładki niżej), za-



Ja pędzę żywot na „wybuch” unieważnienia – co, oczywiście, skończy się wymiotami...

Dobrze wypocząłem w Pana domu – boć to przecież w chałupie „ślunzaka”!

(4): 4.9.1983 r. *Bardzo Wam serdecznie dziękuję za gościnność, ciepłe spanie na szezlon-gu, kawę, herbatę i rozmowy.*

Trziszku tu nie widziałem, gdzieś tam jeździ po kraju. Nic tu nowego, wszystko zawieszona – ja tylko pracuję z przyspieszeniem – jako remedium na głuchotę! (...) Aha! Ukłony dla POLONISTKI – milej postaci.

(5): 21.12.1983 r. *Zapracowani z Trziszką nie zapominamy o Was tam w tym Wrocławiu. Upadł śnieg, palimy w piecu i robimy Prozę Żywą dla sławy i trochę grosza na lato. Ktoś tu nas odwiedził i była nieustanna mowa o Plucie i Łozińskim – ale każda teraz wartość zanika gdzieś za horyzontalną!! By zdechła ta horyzontalna!*

Bóg pozwoli – odwiedzimy Was w marcu – bo to czas kotów.

(6): 27.4.84 r. *Proszę zawiadomić Łozińskiego (nie znam Jego adresu!), że: całą zimą chorowałem na okostną – resekcja 5 zębów! – że nie przygotowałem dla niego prozy – bo jak? – . Wobec tego niech drukuje większe fragmenty Prozy Żywej – bo i tak i tak nikt tego nie czyta?, prócz cenzora? Cała reszta ustnie, gdyż zjawię się we Wrocławiu u Pana chyba już 9 maja, by wygniatać lniane prześciera-dla i uściskać Wodecką.*

(7) *przyjaje do was osmego potem do polkowic pozdrawiam buczkowski*

Telegram nadany w Warszawie. Datownik odbiorczy: O.U.T.M. Wrocław -2-5.84 13

L. Buczkowski
Leopold Buczkowski

W l. 1964-1985 otrzymałem od Leopolda Buczkowskiego ponad 40 przesyłek (w tym ok. 30 listów oraz kilkanaście kartek i depesz – depesz, bo LB nie znosił słowa telegram); prawie wszystkie zachowały się w moim biurku (prawie, gdyż gdzieś zapodział mi się list, chyba z 1982 r., w którym były – jak pamiętam – ironiczne zdania o prozie Andrzejewskiego). Wszystkie listy, oprócz niektórych depesz i przesyłek z książkami, pisane były w **Konstancinie** k. Warszawy (nie podaję więc nazwy miejscowości obok daty), zawsze na maszynie (bodajże przedwojennym remingtonie), którą teraz nadal używa w Splicie syn pisarza, Tadeusz Buczkowski (w tym miejscu dziękuję mu za zgodę na druk listów Ojca). Tylko autograf kreślony był flamastrem lub piórem. W z. 1 *Przecinka* ukazały się faksymilia 3 listów Buczkowskiego z 1964 r., dziś zdania z listów z 1982-84, pełne humoru i autoironii. Opuściłem zdania tytułarne (początek i koniec listu) i kilka drobnych fraz. Zachowałem interpunkcję oryginału (myślniki!), natomiast poprawiłem kilka pomyłek maszynowych (np. w wpisie: *szezłag*).

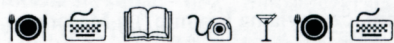
Oto kilka dopowiedzeń. **Apogeu**m, powieść wrocławskiego prozaika (w l. 1984-85 redaktora działu prozy krakowskiego *Pisma Literacko-Artystycznego*) Józefa Łozińskiego ukazała się w 1982 r. POLONISTKA i [Stanisława] Wodecka to jedna i ta sama osoba, czyli nauczycielka polonistka w X LO we Wrocławiu, która zorganizowała 24-25 X 1984 spotkanie Buczkowskiego



Staszek Kortyka naciska migawkę ponad 30 razy!

wierającą 30 jego rysunków (Wrocław 2000, Typoscript). Jest to kolejna pozycja z serii „Książka Artystyczna” tej (nieznanej mi dotąd) oficyny kilku artystów. Oto co pisze w nocie wrocławski hrabalofil: *Książeczkę tę i rysunki poświęcam Hrabalowi. Tekst hrabalowskiego poematu jest potraktowany fragmentarycznie i wysoce instrumentalnie. (...) Rysunki te – komentarze do jego twórczości – to mój skromny hold złożony jego wspaniałemu talentowi.*

Jakie to rysunki? Wszystkie czarno-białe, kilkanaście z cytatami z poematu Hrabala „Bambino di Praga” (urywki przeł. Józef Waczków, *Literatura na Świecie* 1989, nr specjalny; pełne wydanie poematu ukazało się podobno kilka lat temu, ale ja, nieco oderwany od rzeczywistości, do niego nie dotarłem). Na jednym z rysunków takie zdanie Czeskiego Mistrza: *Przy każdym szczaniu myślę o ludzkości.* O rysunkach hrabalowskich Dobrzańskiego powiem krótko: to wyrafinowany szwejkizm...



Obiady przecinkowe

9 Gość: **Anna Żolnowska** – dr nauk medycznych (specjalista anestezjolog), czytelniczka *Przecinka* od 1995 r. Menu: kartoflanka litewska (poniewieśka), kaczka pieczona, kartofle purée, kapusta czerwona, surówka z buraków, ogórek kiszony. Napoje, desery, owoce (do wyboru): woda mineralna (STAROPO-LANKA ZDRÓJ, KOŃCZANKA); herbata chińska; kawa z ekspresu (z mlekiem zagęszczonym z Gostynia); winogrona czerwone (z Maroka?); ciastka z „Tutti-Frutti” (comber orzechowy), wina: bułgarskie (*Lovico. BULGARIAN CABERNET SAUVIGNON. 12% vol. Dry red vine. 1991. Suhindol region*), francuskie (*Le Manoir. CABERNET-SAUVIGNON. 11,5% vol. Vin de Pays d’Oc. 1999*) i niemieckie (*RHEINHESSEN-*

Spätlese. Bodenheimer St. Alban. 9,5% vol. Qualitätswein mit Prädikat. 1999). Dlaczego kartoflanka poniewieska? Bo przygotowana przez M. wg przepisu stosowanego na dworze w Burbiszkach k. Poniewieża w latach 20. XX w. (do wywaru z przetartymi jarzynami dodaje się gotowane, przetarte kartofle i gotuje kilka minut). Jadali ją również goście literaci, m.in. Kornel Makuszyński, choć on w Burbiszkach bywał zazwyczaj latem, gdy często podawano chłodnik z szybkami rakowymi, ale nieraz wybrzydzał, że ma już dość raków...

Pani doktor opowiedziała nam o swojej ostatniej, bardzo dla niej ważnej, podróży. O pielgrzymce do Ziemi Świętej. Wiem: toż ona prawdziwa wojażerka! W latach 80. przez dwa lata pracowała na kontrakcie lekarskim w Algierii (na moim biurku, obok olówków, stoi także przywieziona przez nią saharijska „roża pustyni”), w Austrii była (prywatnie i służbowo) dziesiątki razy, do Norymbergi, do siostry, jeździ częściej niż nad Bałtyk, znany jest jej i Paryż, i Rzym (hm, czy była na Krymie?), i Majorka, i Sztokholm (nie była jedynie w Islandii i na Maderze, ale i tam się wybiera). Z Algierii wracała do Wrocławia volkswagenem garbusiem (po drodze odpoczywała kilka dni m.in. w Aix-en-Provence!); teraz zazwyczaj podróżuje renaul, ale lubi też latać boeingami. To chyba boeing (och, zapomniałem zapytać) poniósł ją (i 40 innych uczestników pielgrzymki milenijnej „Ziemia Święta – Synaj 2000”, zorganizowanej przez Duszpasterstwo Pielgrzymkowe Księży Pallotynów w Warszawie) nocą 21 grudnia 2000 r. do Izraela. A potem? **22 XII**: Jerozolima – Góra Syjon (w ogrodzie Wieczernika wrocławską pątniczkę najbardziej zachwyciło drzewko pomarańczowe z dojrzałymi owocami, zostało uwiecznione na zdjęciu), Góra Oliwna, grobowce Dawida i Salomona. **23 XII**: Jerozolima – Bazylika św. Anny, droga

i Trziszki z licealistami (pokazano również film Szczyńskiego o LB „Wieczysty wrot”). Kto Trziszka – wiadomo... Dwa reprodukowane zdjęcia wykonał 9 V 1984 r. Stanisław R. Kortyka. Na s. 17 od lewej: Trziszka, Buczkowski i JP. W biurku odnalazłem zapiski o pobycie LB we Wrocławiu (9-10 V 1984).

„Wrocław, 7 maja 84, poniedziałek. (...) Telefonował Trz.: w sobotę był w Konstancinie u LB (...). Przyjadą – LB i Zygmunt – do Wr. w środę (wyjadą z Wwy rannym pociągiem), natomiast w czwartek wyruszą dalej do Polkowic i Lubina na kilka spotkań aut. W każdym razie: LB chętny do podróży, i Trz. również.

Wrocław, 11 maja 84, piątek. (...) LB i Trz. dziś w Lubinie, nocnym pociągiem – via Zielona Góra – mają wracać do Wwy. Przyjechali – jak zapowiedział Trz. – do Wr. w środę paryskim pociągiem (...) przed czwartą. M. zrobiła pierogi ruskie, ale spałaszowali niewiele, bo nasycili się w wagonie restauracyjnym. LB w środę nie czuł się najlepiej – i po ponad 6-godzinnej podróży, i zdaje się „tak w ogóle” (och, osiemdziesiątka na karku). W czwartek – już wrócił mu dobry humor, wyspał się świetnie na tapczanie i dowcipkował jak onegdaj [tu: w sierpniu 83 r. we Wr.]. W środę wpadł Staszek Kortyka, zrobił sporo zdjęć – nie wiadomo, czy wyjdą dobrze (używał lampy halogenowej). (...) W czwartek – Wodecka. LB, Trz., a także reżyser i operator „Wieczystego wrotu” przyjadą – na zaproszenie X LO – do Wr. na spotkanie z młodzieżą, gdzieś pod koniec października. (...) Potem także Łoza – w nastroju buńczucznym, lecz szybko został przez Trz. (i LB włączył się do pacyfikowania) „uspokoiony”. M.in. [Łoza] tak się odezwał do LB: „Jak pan umrze, to my” (i coś tam dodał [: napiszemy wspaniałe wspomnienia])... Straszne faux pas popełniał (...). O wpół do drugiej wyszli z domu i autobusem pojechali (Łoza odprowadził ich na dworzec autob.) do Polkowic. LB mówił, że nie może w ogóle pisać, nastrój jego nie najlepszy; gdy Zygmunt coś wspomnił o PRON-ie, ofuknął go, „daj pan spokój z PRON-em”, ma gotową nową książkę – w pierwszej wersji, musi przepisać i uporządkować zapiski, tak mówił Łozie, który nama-

wia go (także telegramami i listownie), by najnowsze dzieło wydrukował w *Piśmie*. Chyba we wrześniu pojedą do Pragi (czeka tam na LB ponad 9 tys. koron za czeskie wydania **Czarnego potoku**): LB i Trz. (on jako przedstawiciel *Tygodnika Kult.*). Niedawno LB podpisał umowę z wydawnictwem w Kiszyniowie (w umowie: honorarium płatne po wydaniu 800 rubli) na edycję moldawską. LB zapowiedział, że przyjedzie do Wr. w połowie sierpnia – razem z Trz. **Proza żywa** – w druku. LB namawia [Trz.], by przygotować tom drugi i trzeci... Słusznie, też zachęcam Zygmunta: trzeba wszystko zanotować, to nie tylko – opowieści Buczkowskiego – dokument, to także urokliwa proza. Właśnie „proza żywa” może zachęcić wielu do sięgnięcia po trudne książki LB, nie tylko po **Czarny potok**, ale także po **Kąpiele w Lucca** i **Kamień w pieluszkach**. (...) I mam kolejny wpis LB (rysunek i łacińskie zdanie – muszę sprawdzić co ono znaczy) w **Księdze autografów**”.

Tak, Buczkowski i Trziszka byli w 1984 r. we Wrocławiu: i w sierpniu (14-16), i w październiku (23-25). Do Pragi autor **Młodego poety w zamku** nie pojechał. Tylko drugie łacińskie zdanie (zob. s. 15) udało mi się przełożyć (pierwszego nie potrafiła spolszczyć nawet filolożka klasyczna z UW). *Et respice finem!* – to: i patrzaj końca.

Sny (naprawdę podejrzone)

Przed 6 [1] i po 6 [2]: 5 IV 2000, zapisane 5 IV 2000 po 20

W kawiarni, podczas przerwy – to chyba jakieś seminarium literackie – rozmawiam z Bogusławem Michnikiem z Kłodzka, którego namawiam, by na jubileuszowe spotkanie zaprosił także Marka Jodłowskiego, on się – bardzo się dziwię – stanowczo sprzeciwia. (– – –) Wracam do Warszawy z jakiegoś seminarium literackiego. Do malucha zabiera nas Adam Michnik. Dziwię się, że ma takie małe auto. Kierownica z prawej strony, za nim ja i poważny Zygmunt Trziszka. Podjeżdżamy po dro-

krzyżowa Via Dolorosa, Golgota: Bazylika Bożego Grobu. Betlejem: Bazylika Narodzenia. **24 XII**: Jerozolima – Dolina Cedronu, Yad Vashem (tu najbardziej przejmująca, odtwarzana z taśmy lista nazwisk zamordowanych dzieci), Muzeum Izraela, pada, chłodno (zwiedzanie gmachu parlamentu, Knesetu, odłożone). Betlejem: pada, pl. Żłóbka pusty, niewielu pielgrzymów (i ja wiem z dzienników telewizyjnych, że od kilku tygodni napięte stosunki palestyńsko-izraelskie, w starciach zginęło kilkadziesiąt Palestyńczyków i kilkunastu Izraelczyków): najpierw w podziemiach Bazyliki Narodzenia pasterka polska, a o północy (w Polsce dopiero jedenasta) pasterka celebrowana przez patriarchę Jerozolimy (przewodniczący Autonomii Palestyńskiej, Arafat, przybywa punktualnie, wrocławianka tuż obok niego). **25 XII**: Jerozolima – msza świąteczna, potem autokarem na południe: Betania, Pustynia Judzka, wielka depresja: **Morze Martwe** (prawie 400 m p.p.m.!), można się kąpać – dr Ż., miłośniczki stawów, rzek i mórz, nie trzeba zapraszać, ale musi uważać, bo mocno zasolona woda wypycha do góry, twierdza Masada (dojazd na szczyt wzgórza kolejką linową), grotty Qumran. Do Jerycha (Autonomia Palest.) autokar nie dojechał: przed miastem droga zastawiona była kamieniami. **26 XII**: z Jerozolimy do Galilei. Oto Tel Awiw (+ 13° C), Cezarea Nadmorska, Hajfa i Góra Karmel, Nazaret: Grota Zwiastowania, pod wieczór ożywienie na ulicach: dla Arabów to koniec Ramadanu, miesiąca postu. (To w Nazarecie, w nowym blokowisku dla osiedleńców, w połowie lat 80. mieszkał kilka lat poeta Aleksander Rozenfeld, nb. nieco starszy kolega Ż. z piaskownicy na wrocławskim Grabiszynie.) Nocleg w kibucu Ginosar nad jeziorem Genezaret. **27 XII**: nad Genezaretem (200 m p.p.m.!). Statkiem do Kafarnaum (m.in. ruiny domu św. Piotra), msza na

Górze Błogosławieństw (+16°), autokarem dookoła jeziora (w kibucu Ajnger obiad: m.in. ryba św. Piotra, żyjąca jedynie w Jeziorze Tyberiadzkim, teraz hodowana także w stawach, nie nadzwyczajnego – i za dużo ości), Tabgha, Kur-si, w baptysterium nad Jordanem poniżej jeziora (święta rzeka niewiele szersza niż Liswarta w Krzepicach), Tyber-riada. **28 XII:** Górna Galilea. Betsaida (o pierwszej: 23°C!), Cezarea Filipowa, źródła Jordanu i góra Hermon. Tyberia-da, stały punkt programu: zwiedzanie sklepu z diamentami (dla pielgrzymów rabat 5%!). **29 XII:** Kana Galilejska (cudu przemienienia wody w wino nie było, za to w kościele dla kilku par pielgrzymów – odnowienie ślubów małżeńskich), góra Tabor, lunch w kibucu Megida. Powrót do Jerozolimy. Ściana Płaczu: osobno mężczyźni (papierowe jarmulki do wypożyczenia na miejscu), osobno kobiety. **30 XII:** już o szóstej msza w jednej z kaplic Bazyliki Bożego Grobu. Krótki, indywidualny spacer po Jerozolimie, potem wyjazd na południe, wzdłuż Morza Martwego, do Ejlatu nad Morzem Czerwonym. Uciążliwa odpra-wa na granicy izraelsko-egipskiej i już Taba, stamtąd autobusem na Synaj, do hotelu w pobliżu klasztoru św. Katarzyny. **31 XII 2000:** trzeba wstać po dru-giej w nocy, by dotrzeć pieszo na Górę Synaj przed wschodem słońca. Można kawałek podejść na wielbłądzie (dr Ż. skorzystała z okazji, to tylko 10 dola-rów i „one dollar for camel”), wreszcie na własnych nogach w górę po kamien-nej ścieżce. Na Górze Mojżesza przeni-klivy wiatr, chłodno, niektórzy odpoczy-wają w śpiworach i oto pokazuje się dwukrotnie słońce, widok fascynujący: wokoło skały, skały i skały. Zejście już krótszą drogą, ale ono trudniejsze, gdyż trzeba ciągle uważać, aby się nie potknąć. O wpół do dwunastej w nocy, na przełomie roku, wieków i tysiącleci, msza na Synaju, która kończy się już **1 I**

dze pod jakąś kawiarnię, przed nią samotnie na zewnątrz przy stoliku siedzi Andrzej Łapicki: uśmiecha się szeroko do kierowcy, Michnik chyba go nie zauważa, bo martwi się, gdzie zaparkować, podjeżdża pod płot, ale zaraz cofa, potem mówi, że tu w pobliżu powinien zostać wybudowany śli-mak, by można było wygodnie zjeżdżać z autostra-dy.

Przed 7 [1] i po 8 [2]: 17 IX 2000, zapisane 18 IX 2000 po 11

Po odczycie (wieczorze autorskim?) Czesława Miłozza: podchodzę do poety z prośbą o wywiad (nie mówię dla jakiego pisma, a on nie pyta). Poeta siedzi wciąż na podium, obok kilka osób. On za-kłopotany, że coś od niego chcę, a dodaję głupa-wo, że nie byłem na jego odczycie z ważnych po-wodów. A ja też zdziwiony, bo wczoraj widziałem go w telewizji jak na Targach Książki podpisywał swój najnowszy tomik **To**, dowcipkował, ale wy-głądał naturalnie, czyli jak dostojny staruszek, a tu widzę mężczyznę najwyżej 60-letniego. Ale się wyglupiłem, myślę. (---) W podłużnej sali siedzi Papież przy okrągłym stoliku, na razie na sali (bli-sko stolika papieskiego) tylko ja, potem wchodzi znajomy NT (nieco się dziwię, bo on „Prawdziwy Polak”) i mówi, że zaraz przyjdą inni. Potem i ja siedzę przy stole (Papież po lewej, ja po prawej). Wstaję i przedstawiam się, mówię wyraźnie swoje imię i nazwisko, Papież też wstaje i podaje mi rękę, a ja całuję jego dłoń, na której nie widzę pierście-nia Piotra. On znacznie młodszy niż widziany kil-ka dni temu w telewizji, wcale się nie uśmiecha, bardzo poważny. Ma w ręce jakąś książkę. Pyta się mnie: co zrobiłeś, co zostawiasz innym? A ja od-powiadam, że jestem pisarzem, on się chmurzy, dodaję, że wydałem kilka książek, a on jeszcze bardziej smutnieje, dopowiadam, że to proza i..., ale on nie chce dalej słuchać.

Czytanki (3)

To jest wilk, który spotkał w lesie Czerwonego Kapturka. Na rysunku wygląda jak żywy, a przecież wiem, że został zastrzelony przez myśliwego. Tak, to wilk czekał aż przez las pójdzie do babci głupia dziewczynka w czerwonym płaszczyku, która nie boi się wilka i grzecznie z nim rozmawia. Ja się boję, bo widziałam w telewizji jak wilk pod lasem zagryzał owce. A ten filmowiec też był głupi, bo zamiast wilka odpędzić, to on długo fotografował jak rozszarpuje aż trzy małe i miłe białe owieczki.

Czyżyki

61. Przeczytałem kiedyś (ale gdzie? – za Chinami nie pamiętam): *Dla lwa (albo tygrysa, albo niedźwiedzia i kilku innych mięsożernych drapieżników) człowiek jest tylko ewentualnym pokarmem.* Zapewne mniej smacznym niż młoda gazela.

62. Nawet w snach nie latałem nigdy wyżej niż kilkadziesiąt centymetrów, a w samolocie – niż milion centymetrów. Wiem: nawet w dzieciństwie nie nosiłem w torbie buławy, jedynie długopis, tabletki od bólu głowy i niezbędny turystyczny.

Dziennik pisany na kolanie

Wrocław, 30 listopada 2000, czwartek. Po ósmej: kolejny wrześniowy (tak!) dzień. Nawet ja, marzący o przeniesieniu się na stałe nad Morze Śródziemne, dziwię się, że w Tatrach, nie mówiąc już o niedalekich Karkonoszach, nie ma śniegu. Och, dziennikarze nie mogą pisać i mówić, że tam a tam spadło tyle a tyle centymetrów białe-

2001. W Nowy Rok zwiedzanie greckoprawosławnego klasztoru św. Katarzyny. Powrót do Jerozolimy: po południu, w Ejłacie krótka przerwa i dr Ż. mogła się wykapać także w Morzu Czerwonym. **2 I 2001:** odlot z lotniska pod Tel Awiwem do Warszawy.

Tylko dwanaście dni, a tyle głębokich przeżyć, wzruszeń i zachwytów: przede wszystkim religijnych, ale także kulturalnych (zabytki z trzech tysiącleci!), turystycznych (pustynie, góry i depresje, gaje pomarańczowe i ogrody). Znakońmitym przewodnikiem okazał się o. salwatorianin z Bagna pod Wrocławiem, który nie pierwszy raz w Ziemi Świętej. Program dnia był tak starannie przygotowany i zaplanowany niemal co do minuty, że wieczorem nie było już czasu (ani siły!), by samemu zwiedzać np. Jerozolimę. A ile kosztuje 12-dniowa pielgrzymka? 1220 USD. I tak najdroższy jest bilet samolotowy. O kieszonkowe (zapewne 100, 200 zielonych) nie pytałem.

Oglądamy zdjęcia (niestety, zrobiła tylko ok. 30), foldery, albumy, mapy. Oto dr Ż. odpoczywa na płaskim kamieniu nad Genezaretem (w tle Wzgórza Golan), oto wschodnia Jerozolima widziana z Góry Oliwnej (wyraźnie złoci się kopuła meczetu Omara), oto kościół Pater Noster, gdzie tablice w wielu językach z „Ojcze nasz” (w suahili tak się zaczyna: *Baba yetu*), oto dr Ż. wśród skał na Synaju, oto dr Ż. na pl. Żłobka w Betlejem (w tle minaret), oto w Jerozolimie kwitnie trzymetrowa gwiazda betlejemka... Wiele osób gromadziło różnorakie pamiątki: wodę z Jordanu, liście palmowe, kamyki, a ona nie przywozła ani jednego kamyka znad Morza Martwego, ani znad Genezaretu, ani jednego odłamka skały z Góry Synaj. Poczuliśmy się wyraźnie zawiedzeni: na biurkach mam kilkadziesiąt kamyków i odłamków, a najbardziej brakuje mi kamyeczka znad jeziora Genezaret. Cóż,

muszę się i ja wybrać nad (tak u Wujka) Morze Galilejskie. Niestety, niestety: konto minusowe, a poza tym (jak śpiewają Starsi Panowie Dwaj) *już nie to zdrowie*, już nie te lata. Hm, gdzie mecenasi? Dotąd bywałem tam – w Jerozolimie, nad jeziorem Genezaret i Jordaniem – tylko w snach.

Kartka z kalendarza: 5 XII

(przywieziona z Jerozolimy przez wrocławską pątniczkę)

Co robiłem, gdzie byłem 5 grudnia 2000 r.? Nie pamiętam. Czy byłem na spacerze? Ot, dzień utonął! W moim kalendarzyku ani jednej literki, ani nawet ołówkowej kreseczki: niezapisany prostokąt. Który rok wybrać? Koptyjski, muzułmański, a może hebrajski? Hm, chiński kalendarz również wiekowy, choć świat w Państwie Cesarza Słowików istnieje kilkaset lat krócej niż u Żydów...



go puchu... Gdy wychodziłem przed drugą na spacer (dziś tylko ponad 500 m, bo poczułem się na- zbyt zmęczony) było ponad 10 stopni (a rano przed ósmą: 7). Obok sąsiedniego domu kilkanaście dni temu na chodniku wciąż barierki (dziurę zakopano, górę zabetonowano, teraz trzeba zalać asfaltem) i kilka tabliczek. Co jednak spowodowało wybuch śmiechu kilku nastolatków? I ja przystaję i czytam: nic tu śmiesznego. Ot: UWAGA! GŁĘBOKIE WYKOPY. To takie zabawne?

(...) Na śniadanie zjadłem m.in. ozory w galarecie. Zapewne wołowe. A czy są w sprzedaży np. ozory wieprzowe? Albo baranie? A tu znowu głośno o chorobie szalonych krów (pojawiła się już nie tylko we Francji, ale i w Niemczech); u nas od dziś zakaz importu wołowiny. A w Radiu BBC słyszałem o chorobie wściekłych krów. Hm, to zapewne w Anglii gazetowy „poeta” tak nazwał tę chorobę (ang. skrót BSE, czyli gąbczaste zwyrodnienie mózgu). Ot, wściekły lis budzi naprawdę strach, ale czy szalony lis może kogoś przestraszyć? Tak, szalona krowa to postać z bajki. Na pewno prof. Miodek będzie musiał w telewizji (może nawet w „Wiadomościach”) wyjaśniać jakie to krowy: szalone czy wściekle? A od kilkunastu lat nowe słowo w polszczyźnie (równie dla mnie tajemnicze jak np. kwark czy kwant): prion, który ponoć wywołuje chorobę BSE. Ponoć, bo i tak nie wiadomo, czy na pewno. Hm, prion, prion. Czy też z greki (jak embrion)? Może to znowu jakiś skrótowiec angielski jak AIDS. A jeśli priony w ozorach, które dziś jadłem? Czy to polskie ozory? A jeśli kupiono je w Anglii, a u nas ugotowano i zagaleretowano? Gdzie je M. kupiła? Mam etykietkę: EPImarket. *Należność 2,29 zł*. Wiem, nic mi już nie pomoże: na tym świecie na pewno nie będę biegał i fruwał, ale wiele może mi zaszkodzić, ot choćby befsztyk wołowy (brr! mózdzku nigdy nie jadłem, a dziś Główny Lekarz Weterynarii RP ostrzegał mnie w telewizji, bym go nie próbował, bo w nim najwięcej prionów). A chleb słonecznikowy, razowy (i słodki, turecki) smarowałem *Tradycyjnym Masłem Irlandzkim* (duże litery na opakowaniu) KERRYGOLD,

zawartość tłuszczu: 82%: wyprodukowano je w Dublinie (!), paczkowano w Niemczech (Krefeld). Hm, w smaku jak nasze tzw. wiejskie; M. kupiła, bo ktoś je zachwalał, ale także dlatego, że chcieliśmy spróbować jakim masłem sto lat temu smarował chleb Stefan Dedalus i Leopold Bloom.

(...) O wpół do pierwszej odbyło się otwarcie Wrocławskich Promocji Dobrych Książek. Dostałem zaproszenie także na dwie imprezy zamknięte: w Galerii BWA Awangarda i Muzeum Architektury. Na pierwszym czytam: *Po części oficjalnej zapraszamy na spotkanie towarzyskie*. Może bym i pojechał (taksówka kosztuje tylko 10 zł w jedną stronę), ale spotkanie w salonie na I piętrze, do którego można wejść tylko po stromych schodach, i to bez poręczy, a windy w Pałacu Hatzfeldów nie ma: nie dla mnie. No tak, tam na pewno lampka wina i kanapki. Od 16:30 do 17:30 swoje książki miał podpisywać Tadeusz Różewicz.

A ja się boję wejść do księgarni (tyle książek chciałbym kupić, być może całkowicie niepotrzebnie, a portfel pusty). Kilka tygodni temu byłem w pobliskiej księgarni „Wratislavia” (po **Wesela w domu** Hrabala) i nawet nie patrzyłem co na półkach, by nie zrobić głupstwa i nie kupić jeszcze jednej pozycji... Na Promocjach ponoć książki o kilka złotych tańsze, ale nie dam się skusić, bo po prostu nie mam pieniędzy. I tak kupię – w najbliższych miesiącach – cz. 2 t. 6 **Dzienników** Nałkowskiej, t. 3 **Antologii poezji francuskiej** Lisowskiego (mam t. 2, nie mam t. 1, może będzie wznowiony) i **Encyklopedię Wrocławia**. Ta ostatnia najdroższa. Mimo że jestem jednym z czterystu czterdziestu (!) współautorów (cha, w grubym buchu ok. 7 000 haseł, ja opracowałem 9, lecz jest też hasło o mnie, w którym także wzmianka o *Przecinku*...), nie miałem jej jeszcze w rękach, ale chyba **Encyklopedię** kupię. W księgarni kosztuje 210 zł, lecz współautorzy mogą ją kupić w wydawnictwie po cenie hurtowej, czyli za 160 zł. (...) Nie pojechałem również do Biblioteki Ossolineum, gdzie o siedemnastej miano ogłosić, kto został tegorocznym laureatem Nagrody im. Andrzeja Kijowskiego.

Przegląd prasy i listów

Egzemplarze sygnałne *Przecinka* 10 otrzymałem 26 października 2000. Nim mogłem usłyszeć i przeczytać opinie o tym zeszytce, w *Twórczości* (2000, nr 11: *Czytane w maszynopisie*) ukazał się list-eisek Henryka Berezy do mnie z 23 XI 1997 o z. 4. Oryginal listu (jak Telimena) mam w biurku; i dotąd tylko ja znam jego treść. Nie będzie więc nadmiernym samochwalstwem, gdy zacytuję dwa zdania: *Czytając „Przecinek”, ma się pewność, że piszesz o tym, czego doświadczasz, co masz w rękę, czego dotykasz. Tyle prawdy u Ciebie we wszystkich szczegółach, poprzez nie można na nowo obcować z Leopoldem Buczkowskim, z Ryszardem Miłczewskim-Brunem, z Bohumilem Hrabalem.*

I tym razem – życzliwy *Przecinkowi* (od początku ukazywania się) – wrocławski dziennik *Słowo Polskie* już 6 XI 2000 (nr 259) powiadomił czytelników o ukazaniu się z. 10 (B.S.: Jubileuszowy „Przecinek”): *Po pięciu latach działalności widać jasno: Jerzy Pluta jest indywidualistą, feruje własne sądy, publikuje uśmiechy i prześmiechy (...)*. Natomiast w poznańskim *Arkuszu* (2000, nr 12: *Zachowania. Z listy lektur 2000*) Jacek Łukasiewicz omawia 4 tytuły: **Listy o Adamie Mickiewiczu (1875)**, **Encyklopedię Wrocławia (2000)**, **Przecinek 10** i **Autoportret ze znakiem zapytania** R. Witka (2000). No tak, znowu wyjdę na nicpoprawnego pyszałka (a jak u Krasickiego? – *mnie to kadzą...*), ale mimo to zacytuję kilka konstatacji pisarza i profesora Jacka: *Pismo to – mimo wsparć – pozostaje niezależne, wyraziście plutocentryczne (...). O tomie Karpowicza – co nie jest częste wśród jego wrocławskich adoratorów – pisze z podziwem, lecz rozsądnie i wnikliwie. „Przecinek” jest zdecydowany w sądach, ale nie tworzy negatywnych hierarchii. Kogo mniej lubi albo nie znosi*

– o tym Pluta nie pisze. Jest jawnie koteryjny i towarzyski.

Dziesiątka miała być zeszytem ostatnim, pożegnalnym, dlatego też zdecydowałem się na pewnego rodzaju wybryk, poniekąd sprzeczny z przecinkowymi założeniami, czyli na laminowaną okładkę z kolorowymi reprodukcjami. Obydwa zdjęcia (i to na s. 1 okładki, i to na prawym skrzydełku) zostały zrobione „idiot-aparatami”; i tak (mimo koloru) ich jakość nie najlepsza. „Coś tam jednak widać”, powiedział mi na pocieszenie pewien znajomy. Zdążyłem natomiast na s. 1 okładki (oprócz *au revoir*) dopisać: *a jednak à bientôt!* Niektórzy czytelnicy grzecznościowo chwalili, że okładka jak w profesjonalnych wydaniach, inni znów wyrażali wprost swoją dezaprobatę. Dodam, że mnie też bardziej podobają się okładki z czerpanego papieru chamois z Dusznik Zdroju!

Na lewym skrzydełku okładki wspominam o wujkach milionerach, którzy chowają się przed *Przecinkiem*. Otóż by może jestem na tropie jednego z nich... Jeden z czytelników zapytuje (datownik na kopercie: 18120010): *Ale czy wiesz (...), że naprzeciwko nas (...) zbudowano wspaniały pałac, rezydencję otynkowaną na seledynowo, ciemnozielono i kremowo, z kolumnami korynckimi, kaplicą i basenem – i że przed nią stoi kosztowny samochód pana domu, największy osobowy mercedes, jaki widziałem, 6000 cm³ pojemności skokowej, 12 cylindrów, znawcy szacują jego cenę na minimum 350 tys. złotych, ach, za pałacem znajduje się garaż na 3 samochody, bo pani domu ma osobny samochód i osobny dla służby, brama automatycznie otwierana pilotem, wszystkiego tego pilnują uzbrojeni strażnicy, a właściciele nazywają się Plutowie?*

Czyż już samo zdanie nie jest piękne? Coś mi świta w głowie! Przypominam sobie, że ojciec kiedyś wspominał o jednym z braci swojego dziadka (czyli

Żeby choć wiedział, kto został wyróżniony, to może bym się wybrał, a tu z zaproszenia dowiaduję się jedynie, że laudacje wygłoszą Tomasz Burek i Tadeusz Nyczek. [*Nagrodę otrzymał prozaik Janusz Krasinski – dopisek redaktorki.*] Ani do Muzeum Architektury (za kilkanaście minut rozpocznie się tam Wieczór Laureatów Promocji Książek i dyskusja „Czy tolerancja jest trudna?”). U dołu zaproszenia czytam: *Po spotkaniu zapraszamy do stołów*. Hm, ja nie jadłem kolacji, ani nie piję (o tej porze nawet herbaty). A słyszałem, że w poprzednich latach na takich spotkaniach zamkniętych ani wina, ani wódki nie brakowało.

Hm, narzekam, że nikt mnie nie zaprasza, a tu dziś mogłem być na trzech spotkaniach (w tym dwóch zamkniętych!). Jak to, prawie 40 lat temu, śpiewał (hm, kto?)? *Nie dla mnie szum samochodów...* A tu kilka dni temu dostałem z Warszawy zaproszenie do Muzeum Literatury (14 XII) na uroczystość wręczenia jubileuszowej nagrody genewskiej Fundacji im. Kościelskich. U dołu zachęcający dopisek: *Na zakończenie wieczoru Ambasada Szwajcarii zaprasza na lampkę wina*. Zamówię taxi i pojedę? Tylko jakie to będzie wino? (...) Także we Wrocławiu strajkują pielęgniarki. (...) Ani jednego listu. Tylko ED dzwonił po śniadaniu, czy się zgadzam, by w *Pomostach* (jednak będzie to tom podwójny: IV-V) ukazał się mój ekslibris autorstwa Wojciecha Nadratowskiego. Oczywiście.

W *Gazecie Dolnośląskiej* kolejna nota o b. dyrektorze teatru, który molestował swoje podwładne. Jeszcze do niedawna mieszkał w pobliżu; kilka razy go widziałem, gdy wysiadał z auta. Znam go z widzenia, nawet całkiem sympatyczny: widziałem go w kilku filmach i w kilku sztukach, aktor chyba średni. Dwa razy prokuratura umarzała śledztwo, po raz trzeci – nie, bo skierowała akt oskarżenia do sądu. Co zarzucają aktorki b. szefowi? *Twierdziły, że dyrektor wkładał im ręce za dekolt, robił wulgarnie uwagi, składał niestosowne propozycje i całował wbrew woli* – czytam w *Dolnośląskiej*.

W nocy męczące sny (w jakichś dziwnych pokojach byliśmy z M.), ale rano niewiele mogłem so-

bie przypomnieć. Niektóre sny zapisuję osobno; zachęcił mnie Marian Pilot; chce w którymś przyszlorocznym nrze *Regionów* ogłosić „Sny na koniec wieku”. Zanotowałem w tym roku ok. 20. Hm, *Przecinek* 10 utonął? Chyba tak. Może nie? To przecież nie gazeta codzienna... A w Internecie wcale nie mam więcej czytelników (od czerwca ponad 200: ho, ho!), a raczej tych, którzy zabłądzili na moją stronę. A ja – mimo wszystko – przygotowuję jedenasty *Przecinek*. Tak, dla krasnoludków...

Czytanka (4)

To jest dom, przed domem na ulicy stoi auto, auto cacuszko, jak powiedział tato. Nasza pani mówi, że to samochód, nie wiem, komu mam wierzyć: tacie czy naszej pani? Nasza pani skończyła uniwersytet, a tato tylko zawodówkę, ale pracował przez pół roku na czarno w Ameryce i wcale nie został Murzynem. A mama kiedyś – gdy oglądaliśmy wspólnie teleturniej i tato odgadł wcześniej od tego pytanego w telewizji, jakie miasto jest stolicą Francji – powiedziała radośnie, że jest najmądrzejszy na świecie.

Karolina jest gópia

Taki napis czarnym flamastrem zobaczyłem w czwartek – 9 listopada 2000 r. po godzinie drugiej – na poprzecznej listwie oparcia ławki stojącej na chodniku, którym prawie codziennie przechodzę. Jeszcze rok temu i ja na niej przysiadłem na kilka minut, teraz ją mijam: sto metrów dalej wygodniejsza. Dwa w jednym, czy może żart? Literki dziecinne, ale wyraźne. Gópia, ale może ładna?

mojego pradziadka), który się zdeklasał. Zamiast (jak wszyscy najbliżsi krewni) zostać rolnikiem, cieślą, murażem, górnikiem, zaczął pracować u karczmarza w P., który miał 5 córek. Podobno brat pradziadka „zakochał” się w tej najbrzydszej, na dodatek rudej i pigowatej, na dodatek ewangelicze. Po ślubie (niestety: w kościele ewangelickim) państwo młodzi wyjechali w 1887 r. z Górnego Śląska do Wielkiego Księstwa Poznańskiego i słuch o nich zaginęł. Czyżby to potomkowie mojego stryjecznego pradziadka?

Polecam: „Przecinek” w „Regionach”!

W ostatnich dniach grudnia 2000 r. ukazał się potrójny zeszyt *Regionów* (nr 2-4). Ot, niby nic nadzwyczajnego (może poza ową potrójną numeracją), ale jeszcze pół roku temu nie było wiadomo, czy w ogóle się pojawi, bowiem Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego odmówiło dotacji. W maju 2000 r. w prasie (m.in. w *Gazecie Wyborczej* i *Tygodniku Powszechnym*) ukazał się list otwarty do Ministra Kultury pt. *Ratujmy „Regiony”*, podpisany przez kilkunastu wybitnych pisarzy i badaczy (m.in. przez H. Berezę, Cz. Hernasa, W. Myślińskiego, T. Różewicza, W. Szymborską, A. Vincenza, F. Ziejkę). Zacytuję jedno zdanie: *Publikacje „Regionów” składają się na prawdziwą złotą księgę piśmiennictwa chłopskiego*. Oczywiście, *Regiony* publikowały nie tylko teksty, które (nawet w najszerszym sensie) przynależały do kultury chłopskiej. A w 2000 r. *Regiony*, czyli „kwartalnik społeczno-kulturalny”, obchodziły jubileusz ćwierćwiecza (w l. 1975-1998 redaktorem naczelnym był Wiesław Myśliwski, a od 1999 r. jest nim Marian Pilot). (Dodam: na początku lat 70. ukazywał się pod tym samym tytułem biuletyn literacki młodych, wydawany przez Kore-

spondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy Związku Młodzieży Wiejskiej.) Apel nie odniósł żadnego skutku, ale Regiony nie upadły, bo uratowały je... pieniądze noblowskie. Oto na s. 4 okładki z. 2-4/2000 czytamy: *Ten zeszyt „Regionów” ukazuje się dzięki hojności Pani Wisławy Szymborskiej* (wyżej collage noblistki). Wiem, że była to suma pokaźna (naprawdę spora, wiem jaka, ale nie zostałem upoważniony do jej ujawnienia).

I oto w *Regionach* potrójnych ukazują się m.in. nie tylko wiersze Erwina Kruka, zapiski Ireny Vincenzowej, „Epitafia” Henryka Berezki (i on wśród poetów?), inedita (proza i wiersze) Leopolda Buczkowskiego, lecz także DODATEK (s. 182-212) pt. **Przecinek**. Co w dodatku? Wybór tekstów przecinkowych z nrów 1-9 (także reprodukcja okładki z. 3 i rysunek L. Buczkowskiego ze s. 1 okładki z. 6), poprzedzony (jakkże sympatyczną!) notą wstępną, podpisaną M.P. (zapewne: Marian Pilot), w której przywołuje się autorskie pismo literackie wiedeńczyka Karla Krausa *Die Fackel [Pochodnia]*. Zaszczytne to dla mnie odniesienie (merci, merci!), ale nieco „poetyckie”: *Die Fackel* ukazywała się w l. 1899-1936 (ponad 30 roczników, łącznie ponad 20 000 stron!), miała co najmniej tysiąc (a niekiedy i trzy tysiące!) prenumeratorów (i to oni zapewniali pismu finansowy byt), a *Przecinek* jest naprawdę przecinkiem, wciąż poszukuje wydawcy i mecenasów... Nigdy nie miałem w ręce *Pochodni*: będę się musiał w maju wybrać do wrocławskiej Biblioteki Uniwersyteckiej, tam na pewno będę mógł pismo Krausa przejrzeć. Zadowolony jestem szczególnie z przedruku dwóch „tekstów górnośląskich”: „Pojechać do Gliwic” i „Podróż na Wschód w 1945 roku (spod Gliwic na Ukrainę)”. Tak więc teksty przecinkowe docierają teraz do nieco innego kręgu czytelników, co mnie nie tylko cieszy, ale i napawa

Dziennik pisany na kolanie

Wrocław, 20 grudnia 2000, środa. Znowu na śniadanie ozorki w galarecie. Kupione wczoraj, więc trzeba zjeść? Przecież to nasze, bez podejrzanych prionów, które mogą spowodować u ludzi chorobę Creutzfeldta-Jacoba. Niedawno czytałem wywiad z profesorem weterynarii, który powiedział, że na podstawie objawów zachowania bydła na pastwisku (potrząsają głowami, kręcą się wokół własnego ogona itd.) – nie powinno się raczej mówić o chorobie szalonych, lecz tańczących krów. A kilka dni temu M. przyniosła dwumiesięcznik Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN, którego jest sekretarzem redakcji, czyli *Postępy Higieny i Terapii Doświadczalnej*; w z. 2 z 1993 r. czytam artykuł Egberta Piaseckiego „Priony”. Już wiem, że prion to nowe, wymyślone słowo, skrótowiec angielski. Co roku naukowcy wymyślają setki takich słów, zrozumiałych jedynie w wąskim kręgu badaczy, lecz tylko niektóre przedostają się do wszystkich tzw. kongresowych języków. Chyba Francuzi nie utworzyli własnego słowa (nie będzie nam Anglik...), jak to było z „przetłumaczeniem” AIDS? A Chińczycy też uznali priony? Czytam o chorobach prionowych i o dwóch odmianach prionów: normalnej i patologicznej itd. Ale co to takiego ten tajemniczy prion? Zrozumiałem, że to cząsteczka prymitywniejsza (?) od wirusa. Oto czytam: *W 1982 r. Stanley B. Prusiner zaproponował termin prion (od ang. proteinaceous infectious particle) na określenie „małych białkowych cząstek zakaźnych odpornych na inaktywację przez większość procedur modyfikujących kwasy nukleinowe”*. Hm, i tak nic z tego nie rozumiem, ale za to znam etymologię prionu... To mało? A Prusiner w 1997 r. otrzymał Nagrodę Nobla! (...) W poniedziałek mogłem jeszcze pójść na krótki spacer, a dziś siedziałem w domu: rano prószyno, w mieszkaniu ciemnowo, nawet nie mogę przeglądać gazety (za małe literki), za to czytałem **O krasnoludkach i sierotce Marysi**. Po ilu latach znowu? Hm, kiedy mogłem czytać po raz pierwszy? Chyba w 1954

lub 1955 r. Marysię i krasnoludki zapamiętałem, także gąski (też pasłem). Pierwodruk (zajrzałem do Nowego Korbuta) ukazał się w 1895 r., wcale nie tak dawno, ale dziś język opowieści nieco już staromodny, ot, taniopoetycki, ale chyba wciąż dzieciom bajeczka może się podobać. Czy dzieci czytają dziś Konopnicką, czy też bardziej podobają się im straszne bajki Grimmów? U Grimmów krasnoludków niemało. Nie mam pojęcia. (...) W grudniowej *Odrze* szukam najpierw felietonu Stanisława Lema. Od dziesięciu chyba lat czytam z uwagą jego „Rozważania sylwiczne”. Co prawda Lem posługuje się składnią nieco pokretną (Jerzy Łukosz nazwał kiedyś w *Twórczości* jego styl – o ile dobrze zapamiętałem – „ciężkoniemieckim”), ale stale przekłuwia ironią, parodią i sceptycyzmem kolorowe balony (jak mówią górale żywieccy, a może nie tylko oni) „przeuconych profesorów”. Oto pierwsze zdanie odrzańskie: *Front aktualnych postępów naukowych jak gdyby nieco spowolnił swoje tempo*. I to mi się podoba! W ostatnich latach Lem drukuje swoje rozważania w kilku pismach, ale i tak chciałoby się krzyknąć w nocy: więcej Lemów niż Golemów! Ja nie wykrzykuje, bo kładę się spać przed jedenastą i nawet nie wiem jak wygląda teraz nocny Wrocław, bo bez ochroniarza boję się wyjść z domu po dziewiątej. Natomiast prawdziwym zaskoczeniem był dla mnie tekst Małgorzaty Dzieduszyckiej („Moim synom – aby pamiętali o Grotowskim”). Nie mogę pojąć, że tak antyhaziograficzny szkic o Grotowskim mógł się ukazać w *Odrze*. Pewien starożytny zoil (czyż to nie Horacy?) pisał, że i Homer czasem się zdrzemnął; zapewne więc w *Odrze* zaspał redakcyjny cenzor wewnętrzny. (...) W 1976 r. Andrzej Falkiewicz zanotował o Grotowskim w swoich zapiskach: *Poeta? Z pewnością. Ale poeta czego? Nie teatru (nie lubi teatru), nie języka (słowa waży zbyt lekko), nie ludzkich trzewi (wszedł w nie za pomocą lektur, poprzez psychoanalizę). Jest poetą reklamy (Takim ściegiem: Wr. 1991, s. 282)*. A kto jeszcze pamięta o obrazoburczej powieści Józefa Łozińskiego *Pantokrator*? I dziś ją polecam! (...) W kaloryfe-

nico lękiem, bowiem każdy zeszyt *Przećinka* jest całostką niepowtarzalną i w zasadzie powinien być przedrukowywany jedynie fototypicznie. Wiem zarazem, że wystarczy zjeść 2 kawalki tortu, by się przekonać, czy cały tort smaczny... Bon appétite!

Książki nienadesłane

Mieczysław Machnicki, **Wiersze znad Ikwy i Mekongu**, Warszawa 2003, Mój Styl.

Po zbiorcach **Katedra** (2000; nagroda im. W. Hulewicza na Warszawskiej Jesieni Poezji w 2000 r.) i **Kasztany** (2001) Machnicki wydał tomik bibliofilski (jednakże w nakładzie normalnym: 400 egz.), w którym pomieścił 23 wiersze, napisane podczas pobytu w latach 90. w rodzinnych stronach (okolice Krzemieńca!) i dwukrotnej podróży dziennikarskiej do Wietnamu (w I połowie lat 70., kiedy trwała jeszcze wojna, i po ćwierćwieczu, pod koniec lat 90.). Okładki z grubego, żółtawego papieru bambusowego (dar papierni z Sajgonu)! Czytelnik otrzymuje zarówno zapisy pierwotne (faksymilia i czystopisy), jak i czwarte lub piąte wersje, ukończone później w Warszawie. Integralnym elementem wzruszających wierszy są niewątpliwie zdjęcia (i rysunki!): oto poeta nad Ikwą (338 m n.p.m.), oto poeta w Ikwie nad Ikwą (w tle Krzemieniec), oto poeta na górze Bonie (408 m n.p.m.) w Krzemieńcu, oto poeta w bambusowym (a może korkowym?) helmie w dżungli nad Mekongiem...

Janusz Styczeń, **Mój przyjaciel Rafał**, Wrocław 2005, Pegaz.

Oczywiście: Rafał Wojaczek. Zapiski wspomnieniowe, glosy, interpretacje wierszy autora **Sezonu**. Polemiczne uwagi o filmie „Wojaczek” Majewskiego. Jednym słowem: antyhaziografia. Kandydatka do Nagrody Nike?

Książki nadesłane

Wojciech Banach, **Punkty wspólne**, Bydgoszcz 2000, Galeria Aut. J. Kaji i J. Solińskiego; Augustyn Baran, **Tau tau**, Wrocław 2000, Atut; Marek Chodorowski, **Kurdefurke czyli ostatni zajazd gdańskiej prokuratury**, Złotów 2000, Pro-Media; Wojciech Gawłowski, **Zapach gasnącej świecy**. Obrazy – Jan Kaja, Bydgoszcz 2000, Galeria Aut.; Krzysztof Karwat, **Jak hanys z gorolem**. Rozważania o Górnym Śląsku, Katowice 1999, „Polskapresse”; Krystyna Miłobędzka, **wszystkowiersze**, Legnica 2000, Biuro Lit. Port Legnica; Jerzy Lesław Ordan, **Nasze długie cienie**, Toruń 2000, Wyd. Adam Marszałek; Aleksander Rozenfeld, **Wiersze na koniec wieku**, Złotów 2000, Pro-media; Jacek Soliński, **Przechodnie i aniołowie**. Linoryty i obrazy, Bydgoszcz 2000, Salon Sztuki Współcz. – Galeria Aut.; **Zeszyty wierszem II**, Jelenia Góra 2000, Jeleniogórski Klub Lit.

Doniesienie z ostatniej chwili!!!

Dopisek Amelii Żymły

19 lutego br. byłam w Teatrze Współczesnym na promocji książki Bogusława Kierca **Moje kochanki** (Wrocław 2001, Wyd. Dolnośląskie). Mimo prowokacyjnego tytułu i „pornograficznego” obrazu Tadeusza Boruty „Inicjacja” (obnażony mężczyzna patrzy smutno na nagą kobietę, którą widzimy tylko od tyłu) na s. 1 okładki, to zbiór poważnych i fascynujących esejów o literaturze. Po wstępnej lekturze najbardziej podobały mi się szkice/wyznania o Helmucie Kajarze, Tymoteuszu Karpowiczu i Rafale Wojaczku. Tytułowy tekst dotyczy... Mickiewicza. Ponadto o Jerzym Ficowskim, Julianie Przybosiu i swoim zmarłym bracie – aktorze Andrzeju.

rze coś rzezi. Chyba to krasnoludki chrapią aż tak głośno; mnie chrapanie (ludzi i krasnoludków) wcale nie przeszkadza. Gdy słyszę chrapiącego, mam pewność, że oprócz mnie żyje na świecie ktoś jeszcze.

Cytaty

Przytaczam fragmenty, które mnie zaskoczyły, zadziwiły, przestraszyły itd. etc. Wybór jest przypadkowy: na podorędziu mam sto innych ułomków.

Jorge Luis Borges

DO MNIEJSZEGO POETY Z ANTOLOGII GRECKIEJ

(...)

*Innym sławę niegasnącą dali bogowie,
pilni historycy ułożyli napisy i wzniesli pomniki,
o tobie jedynie wiemy, wzgardzony przyjacielu,
że słuchałeś słowika raz wieczorem.*

(...)

Przekład Czesława Miłosza
(*Plus Minus* – 20-21 V 2000, nr 20)

Rafał Wojacek

BEZ PRZECINKA

*Mdle płomyki obłędu trawki
Rosną do mózgu i mózg krwawi*

*Myślą za okno i śnieg pada
Bez przecinka się opowiada*

*Najdłuższe zdanie mojej myśli
Choć na pewno mi nie po myśli*

(...)

(**Nie skończona krucjata**)

Plepleski sierotki Marysi

Co to za plepleski? Uprzedzam od razu: nie ma takiego słowa nawet w najnowszym słowniku, ale jest: *topless a. toples*. A kto w lipcu (w sierpniu i wrześniu też) przechadza się dumnie i prowokująco po plaży na Lazurowym Wybrzeżu (byłam i widziałam) w niemodnym już, bo nazbyt powszednim, stroju *toples*? No jasne: *topleska*. Czy też *toplesowałam*? Oczywiście, przez dwie godziny; nie chciałam się wyróżniać, a po drugie: mógłby ktoś pomyśleć, że nie mam co pokazać. A gadania *ple ple* w domu i kawiarni to *pies*? Nie, to właśnie *plepleski*!

Wcale nie jestem sierotką, ani też Marysią, mam swoje imię chrzestne i urzędowe: Zofia. Bo jestem półsierotką; to mój wujek mnie tak nazwał (bardzo lubił Konopnicką), który po pielgrzymce do Częstochowy napisał do mojej cioci (a jego siostry) list, że kupił siostrzeńcowi organki, a sierotce Marysi różaniec, żeby się modliła codziennie, to Bozia da jej nową mamusię. A ja już od roku byłam u cioci Mani, wcale nie chciałam nowej mamy, choć podsłuchałam, że i ciocia namawiała tatusia, żeby się ożenił, tyle dokoła porządnych wdów, które przygarną sierotki (bo i moich 2 braci), ale tato pozostał nieugięty i mówił: a na sranie dzieciom potrzebna macocha, sam wychowam chłopaków, a Zosi u ciebie nie będzie przecież źle. Straszne słowo: macocha. Kto wysłał do lasu Jasia i Małgosię? Macocha, ale tatuś się zgodził! Co to był za tatuś? Pantoflarz!

My, krasnoludki, mieszkamy teraz pod kaloryferami

Nie zaprzeczamy: jesteśmy mali, nawet bardzo mali, ot, małutcy jak ziarnko maku, ale gdy się nam przyjrzyecie przez lunetę, zobaczycie, że jesteśmy niezwykle proporcjonalnie zbudowani – jak olbrzymy, czyli ludzie, nasze krasnalice mogłyby startować z powodzeniem w konkursie Miss Polonia. Mogłyby, ale nasze prawo (dodajmy: zwyczajowe, bo pisanego nie mamy) nie pozwala występować publicznie w strojach plażowych, a tym bardziej przed olbrzymami, zawsze chodzimy w spodniach, kaftaniku i czerwonej czapeczce. Ponad sto lat temu przeprowadziliśmy się z leśnych schowków do ciepłych domów: w zimie mieszkamy pod kaloryferami, nikt nawet nie wie, że tu nasze księstwa, to myśmy przegonili z betonowych bloków mrówki faraona, ale czy ktoś o tym wie, czy ktoś chce wiedzieć? Pod kaloryferami nam ciepło i przytulnie, lecz martwi nas to, że z wieku na wiek nasza miniaturowa odmiana *homo sapiens* staje się coraz mniejsza, gołym okiem ludzie już nas nie dostrzegają, nawet przez lupę ledwo jesteśmy widoczni, a nasi najlepsi profesorowie nie mogą wyjaśnić dlaczego my wciąż lilipuciejemy. Niestety, niestety. Dlaczego?

* Ogłoszenia drobne *

Inseraty * Ogłoszenia średnie *

❖❖ Plastikowe diamenty (zielone, wiśniowe i cytrynowe), prawdziwe samородki z Alabamy (atest Zakładu Higieny i Urody), sprzedam okazjnie wyjeżdżającym w lipcu na wczasy do Turcji i Bułgarii. I-07.

♯ Zbieram wszelkiego rodzaju (tylko wiarygodne i udokumentowane) płótki polityczne i obyczajowe anno 2001. Płacę od ręki i od sztuki (cena do uzgodnienia en tête à tête). Dyskrecja w 133%!! Przygotowuję do druku antologię pt. *Życzliwi i bardzo życzliwi*. Oferty pod „Badacz”. I-09.

✂ B. redaktor pisma literackiego, niesłusznie zwolniony bez odprawy, poszukuje dobrze płatnego stanowiska rzecznika prasowego banku lub hipermarketu. Potrafię na żywo przekładać wypowiedzi szeffa na telewizyjnopolski. Zgłoszenia pod „Redaktor”. 0-16.

♣ Biję w mordę bez pytania. 100% gwarancji! Zgłoszenia pod „Stowa od ręki”. I-13.

✂✂ Emerytowany agrolotnik i inżynier szybowcowy uczy hodowców gęsi i kaczek, jak umiejętnie podcinać skrzydła, by ptaki nie uleciały. Osobny kurs dla dyrektorów, którzy boją się podwładnych – orłów i sokółów (dyskrecja zapewniona!). Zgłoszenia telefoniczne: (071) 317 77 14. I-27.

♣ Drodzy kandydaci na posłów! Na mnie możecie liczyć: naprawdę jestem do kupienia (wystarczy wycieczka na Krete). „Wyborca niezależny”. I-31

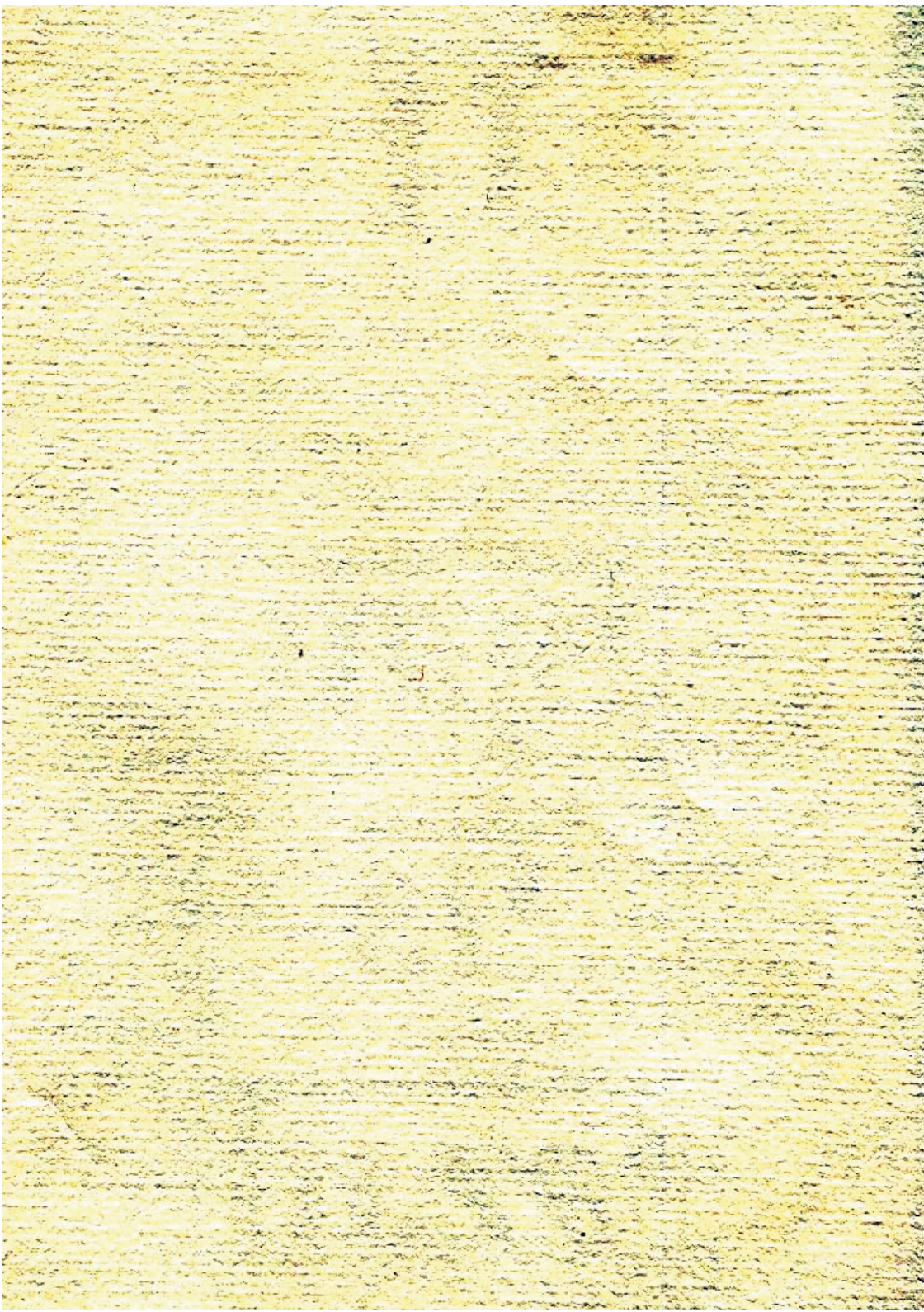
♯ Nie mam sobie nic do zarzucenia: zawsze kłamałem w słusznej sprawie. Udzielam porad. Kontakt: „Lis”. I-29.

☑☑ *Przecinek* kupi książki Niki Strzemińskiej: 1) *Sztuka i nienawiść* (Warszawa 1991), 2) *Katarzyna Kobro* (Warszawa 2000 [?], Scholar). Zgłoszenia w REDAKCJI. Ew. zamiast złotych można otrzymać muszlę z Morza Czerwonego, kamyczki z plaż bałtyckich lub rękopis wiersza Rafała Wojaczka [*** *Sutki stwardniały*]. I-21.

☑ Powiadamiam wszystkich przyjaciół i wrogów, że w I. dekadzie XXI w. nie zamierzam ubiegać się o Urząd Prezydenta RP, bowiem jestem bardzo przywiązany do stanowiska Dożywotniego Prezydenta Miasta (nazwy nie muszę wymieniać). Mgr (imię i nazwisko wszystkim znane). I-18.

Υ Stanowczo dementuję jakoby był – jak rozpowiadają na prawo i lewo nieżyczliwi mi kosmopolici wszelkiej maści, wiadomi cykliści górscy i zawistne kurduple – rasistą i antysemitą. Zarazem nie zaprzeczam, że człowiek powinien być biały, a ponadto bardzo lubię Żydów mieszkających w Izraelu. Dr nauk hist. Jan Kwiatkowski (przed obroną przewodu habilitacyjnego na Uniwersytecie im. Iwana Franki we Lwowie). I-19.

✂✂✂ Wydawnictwo 3B [= Bóg, Buk i Bug] (01-682 Warszawa, ul. Witolda Gombrowicza 17, / 022/622 57 49, e-mail: wyd.buk@buk.onet.pl) nawiąże stałą współpracę z niezależnymi, nieprzekupnymi krytykami i recenzentami literackimi, którym leży na sercu dobro literatury polskiej i własne dochody (w lecie planujemy seminarium literackie na Itace, m.in. spotkania z potomkami Odysusza!). Wydajemy tylko takie książki, które ludzie chcą czytać! Zapewniamy: jakiegokolwiek miazmaty i popłuczyny nie mają u nas szans, nasze dzieła zrozumie zarówno przedszkolak, jak i profesor uniwersytetu. W druku najlepsze powieści i opowiadania, napisane dla nas przez najbardziej znanych współczesnych pisarzy polskich. Oferty (wraz z c.v. i wycinkami prasowymi) przyjmuje do 8 V br. sekretariat. I-20.



**bez przecinka i kropki
polubisz bez i wykopki**

gadaj i to szybko po co mam przecinać po co kropić na co mi kropka w życiu nie widziałem czarnego smoka w życie rosną także bratki chabry i saradela nie wiesz czy tarantela ma coś wspólnego z tarantulą przecinaj gdzie idziesz po co żyjesz zobaczysz zaraz pokropi jeszcze śpisz a tu goście jadą nad morze ona miała sukienkę w bordowe kropki a ja głupi zaspalem i spóźniłem się na pociąg do Warszawy leć po wódkę nie pij beaujolais nouveau to siki miki tu przecinaj gruszkę na pół teraz kropnij się do kiosku po gazety może wygrałem w totolotka pij co ze mną nie wypijesz jego nie musisz przeproszać to buc tak to możesz wykropkować przecinaj lila bez wolę biały też kurwa mówię przecinaj w kropkę zalany bez atu patrz pod nogi bo pocałujesz niebieskie niebogi pij jeszcze nie umieramy uważaj na wykopki zaraz spadamy bo nas zakiblują na chama nawet kropka nam nie pomoże bo mamy chyba dwa koma trzy komu to mówisz